Nr. 11. Poznań, Niedziela 17go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Dokąd idziemy?

I.

Ile razy przebiegam myślą dzieje ostatnich czasów naszego społeczeństwa, echa walki rasowej z przemożnym żywiołem germańskim, szczerby, jakie czas wśród naszych warstw kierujących poczynił i ruch wśród żywiołów nowszych, dotąd w cieniu trzymanych, a dzisiaj prących do steru, — i rozpamiętuję wszystko, co na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat zdziałaliśmy — i do czego na próżno wyciągaliśmy ręce — nie mogę oprzeć się uczuciu, że społeczeństwo nasze w rdzennych objawach swego życia narodowego poniekąd osłabło. Uważam zaś za rdzenne objawy życia narodowego: ruch umysłowy, zdobycze na polu naukowych badań i sztuki, jasność w programie politycznym i pewną jednolitość i godność w postępowaniu, gdziekolwiek przedstawicielom społeczeństwa wypadnie reprezentować je publicznie, czy to wśród toku naszych spraw wewnętrznych, czy też na zewnątrz. — I mówi mi głos wewnętrzny, że osłabliśmy nietylko dla tego, że smutny szereg cyfr, wykazujący rokrocznie zmniejszanie się materyalnej podstawy życia narodowego — posiadłości ziemskiej — stanowi zarazem dowód obniżania się siły przodującej warstwy — nietylko dla tego, że ci, co wyłom zrobiony w przyszłości zapełnić mają, pierwsze dopiero i to nie zawsze szczęśliwe kroki na arenie politycznej stawiają — ale, że niemoc obecna i owa bezradność, tak w naszych sprawach wewnętrznych jak wobec zewnętrznego nacisku politycznego, każąca nam bez dostatecznej przyczyny przerzucać się z jednej ostateczności w drugą, zamiast zdążać po wytkniętej drodze ku jasno określonym celom, inne jeszcze, głębsze musi mieć przyczyny. I razem z owem beznadziejnem uczuciem społecznej dekadencyi naszej, staje przedemną przygniatające pytanie: dokąd my dążymy?

Jeżeli tam, gdzie nieprzyjaciel wali taranem w ostatni mur forteczny, by przez szczerby zrobione wtargnąć do twierdzy, przezorność nakazuje skupić siły w jednem zagrożonem miejscu, choćby nawet przyszło na chwilę odsłonić inne mniej narażone części, — to nie podobna i wśród walki politycznej nie uznać tego sposobu obrony, chociaż zapomnieć nie wolno, że tutaj odsłoniętym częściom nierówno większe grożą niebezpieczeństwa. Kiedy za czasów walki kulturnej uderzono w uczucia religijne naszego społeczeństwa, — wykonali przywódzcy nasi ów manewr, ratujący najbardziej wówczas zagrożony kościół — i narodowość zeszła na plan drugi. A poświęcono ją tak dobrze, że dzisiaj, kiedy stosunki dawno już odmienny przybrały kierunek, zawsze ona jeszcze stoi na drugim planie i napróżno o przynależne jej stanowisko kołace.

Naprzeciw nam stał człowiek, który zęby zjadł na sztukach i sztuczkach dyplomatycznych, bezwzględnością i siłą usuwał, co mu stanęło na drodze, i zrobił naród swój woskiem podatnym w swem ręku, — i cóż dziwnego, że w walce z takim przeciwnikiem, przebijało w naszych manewrach coś z chwiejnych ruchów niedorostka, występującego pierwszy raz w ciężkiej zbroi na arenę turnieju do walki. Po stronie przeciwnej był każdy ruch ściśle obliczony, doniosłość każdego ciosu odmierzoną, — i to nadawało jej ową swobodę poruszeń, dozwalającą jeszcze na wypadek przegranej wycofać się w porządku. My, którzy w owej walce, nie ze wszystkiem własną zasługą, odnieśliśmy względne zwycięstwo, zapędziliśmy się za daleko za cofającym się w porządku nieprzyjacielem i pędzimy ciągle jeszcze siłą bezwładności w raz obranym kierunku. Nie mieliśmy wówczas człowieka, któryby umiał ogarnąć umysłem całokształt położenia politycznego i wszelkich ewentualności walki i pokierować sprawą obrony tak, aby na wszelkie wypadki zachować nici w swem ręką. Kler pochwycił ster naszych spraw społecznych, a przekonawszy rząd pruski, że gotów do pewnych ustępstw na polu narodowem, uzyskał wkrótce i stolicę arcybiskupią.

Nie trzeba się łudzić co do zamysłów rządu pruskiego wobec nas; to, co naiwni i nie tylko naiwni pośród nas, nazywali nowym kursem, każąc nam cieszyć się z rzekomych ustępstw — było tylko nowym etapem walki. Ponieważ nie udało się zachwiać nas w uczuciach narodowych, uderzając w naszą religię, postanowiono dążyć do celu tego za pomocą naszej religii. Pierwszy eksperyment rządowy nie udał się stanowczo, — znajdujemy się obecnie w epoce drugiej próby, której dzieje nie zamknięte jeszcze.

Kto z takiego stanowiska spojrzy na to, co u nas obecnie się dzieje, znajdzie klucz do zrozumienia niejednego faktu zkądinąd trudnego do wytłomaczenia.

Owa przebiegła dążność rządu pruskiego, nie kryjąca się z zamiarem użycia do walki z naszą narodowością pewnego odłamu naszego własnego społeczeństwa, wywołała oczywiście wielką trudność położenia. Wielkiego taktu i zręczności trzeba było ze strony kierowników naszego kościoła, którzy i na nasze społeczne sprawy przeważny wpływ rozpościerają, aby tam, gdzie stosunki jako obywatelom wystąpić im każą, nie zadrasnąć uczuć narodowych swego społeczeństwa. Spodziewaliśmy się po naszych kierownikach, że przy sprawowaniu czynności obywatelskich zachowają ten takt polityczny, i że tam, gdzie zbyteczne wysuwanie narodowej strony narażałoby ich zkądinąd wysoko odpowiedzialne stanowisko, będą umieli powstrzymać się od działalności. I milczenie bywa niekiedy czynem. — Niestety, znany interwiew w sprawie śląskiej zatrwożył nas nieco. Śląsk, prastara dzielnica Piastów, przez długie wieki wystawiona na zalew germański, zamierała powoli narodowo. Zatracili obyczaj i język swojski książęta panujący, rycerstwo, duchowieństwo — pozostał lud. Fala germańska podmywała powoli i tę ostatnią twierdzę narodową i nadszedł smutny czas, kiedy na ziemi polskiej mówić rodowitym językiem stało się — zakałą. I oto po wiekach letargu budzi się głęboko uśpione uczucie narodowe i na Śląsku poczyna wpół zamarła polskość powracać do życia i coraz szerszą falą się rozlewać. I ten jedyny w swoim rodzaju ruch, zwiastujący odrodzenie i świadczący o niespożytej sile naszego plemienia, rokujący nadzieje lepszej przyszłości — znalazł pomiędzy nami u osobistości wysoko postawionej i wpływowej wyrazy publicznego potępienia! Jakkolwiek ogólnikowe i polowiczne sprostowanie osłabiło bezwzględność pierwszej wersyi, był to jednak fakt, ktory musiał w wysokim stopniu zaniepokoić szerokie koła naszego społeczeństwa. Ponawiające się ciągle głosy pewnej części prasy, przemawiające za bezwzględną lojalnością wobec rządu — powtarzane obietnice ulg, które się nigdy nie spełniały — wieści o pośrednim i bezpośrednim wpływie władzy duchownej na wspomniane organa prasy — wzmagały niepokój i bezradność. — I coraz wyraźniej wskazywały różnorodne głosy i objawy, że między tymi, co stoją u steru a społeczeństwem nie ma porozumienia, lecz coraz większa rozwiera się przepaść i głuchy opór się wzmaga.

I oto mamy rozwiązanie zagadki, dla czego u nas obecnie panuje taki zamęt w przekonaniach politycznych i społecznych, dla czego mimo, że rozrastamy się liczebnie i świadomość polityczna coraz szersze koła ogarnia — nie posuwamy się naprzód. Społeczeństwo nasze

obraca się w zaklętem kole dawno przeżytych haseł i nie zdobyło się na żadną nową, duchowi czasu odpowiednią, przewodnią ideę.

„Kuryerowi Poznańskiemu“, organowi naszego duchowieństwa przypadła niewdzięczna rola przodownictwa w polityce antynarodowej, i trzeba przyznać, że spełnia on swoje smutne posłannictwo z niemałem powodzeniem i właściwą sobie taktyką. Nie było myśli narodowej w ostatnich czasach, którejby nie zbezcześcił, nie było przeciwnika, któregoby nie oplwał, nie było idei postępowej, którejby nie ostrzelał ze swych haubic ciemności! Kłamstwo, obłuda, paszkwil, poziome insynuacye i karczemne wyzwiska — to jego broń, godna celów, ku jakim zdąża. Wobec tej służalczej polityki „Kuryera“ okazywało społeczeństwo nasze dziwną pobłażliwość, tu i owdzie napiętnowano jakiś wyskok serwilizmu, tu i owdzie odparto z oburzeniem jakąś napaść brutalną, nie kusząc się o scharakteryzowanie całości i stawienie pod pręgierz kierunku. Na wskroś religijne społeczeństwo nasze lękało się dojrzeć po za nominalnemi redaktorami i opiekunami „Kuryera“ wpływy wyższych dostojników kościoła, a nie mając pewności, co należy kłaść na karb prądu, wiejącego z góry, co zaś przypisać specyficznym zamiłowaniom „Kuryera“ — milczało. W samą porę przyszła wobec takiego stanu rzeczy deklaracya ks. arcybiskupa Stablewskiego, wypierająca się wszelkiej wspólności z podziemną robotą Kuryera i oddająca mu niepodzielnie cały zaszczyt po piórze.

Kto dał „Kuryerowi“ prawo narzucać społeczeństwu politykę wstrętną mu i obcą? Zkąd wziął śmiałość marne płody swej pełzającej wyobraźni podawać jako owoc przekonań, choćby tylko znaczniejszego odłamu społeczeństwa?

Wobec rządu pruskiego odgrywają politycy Kuryerowi rolę co najmniej komiczną. Rząd pruski chce naszego wynarodowienia i kpi sobie z lojalnych darów „Kuryera“. A jednak większem niebezpieczeństwem grożą społeczeństwu takie objawy zwyrodnienia najpotężniejszego z instynktów, bo instynktu samozachowawczego, i zakusy pociągnięcia zdrowego ogółu na pochyłość własnego poziomu, niż niedwuznaczne zamiary rządu i — może szkodliwe — ale przynajmniej otwarte rzucenie rękawicy panów Kennemannów i jak się tam jeszcze nazywać mogą.

Ostatnie dzieje nasze dowodzą, że utrata niepodległości nie jest jeszcze śmiercią narodu. Katastrofa polityczna na schyłku przeszłego wieku nie zakończyła tych krwawych i bezkrwawych zapasów z żywiołem germańskim, jakie od lat tysiąca ze zmiennem szczęściem prowadzimy. Stawać do walki z siłami nie dorównywającemi potędze nieprzyjacielskiej jest nieszczęściem, — nie wyzyskać wszystkich czynników, zdolnych do podniesienia sił własnych i sprowadzić tym sposobem klęskę — jest winą — ale deptać własnemi nogami godność narodową ku zgorszeniu współczesnych — na wstyd potomnych — to sromotne. *St.*

POLITYKA.

Lombroso o Crispim.

(Kartka z dziejów megalomanii politycznej.)

Przed niedawnym czasem Cezar Lombroso ogłosił rozprawkę o politycznym obłędzie wielkości, w której szorstko, ale sprawiedliwie zaczepił jedno ze sztucznych, a tak dla jego ojczyzny szkodliwych bożyszcz Europy — Crispiego. Nie spodziewał się zapewne przezacny uczony, iż wkrótce, sposobem ile można najbardziej stanowczym, stwierdzony zostanie na tej ministeryalnej postaci fakt związku między polityką a... psychiatryą.

„Żeby ten wyszedł — mówił wtedy Lombroso — ktoby kilka lat temu między polityką, socyologią lub krytyką sztuki, a nauką o obłędzie, dopatrywał jakiegokolwiek związku. Uważanoby to za przejaw uprzedzenia specyalisty, który, mając swą naukę wbitą w mózgownicę, z tego stanowiska zapatruje się na wszelkie przejawy społecznego życia. Obecnie jednak osądził rozum czasu te uprzedzenia i stwierdził, że przynajmniej u bardziej rozwiniętych narodów społeczna patologia część ich fizyologii stanowi. Sądzę przeto, że mi za złe wziętem nie będzie, skoro oświadczę, iż jak w sztuce, tak i w polityce starszej czy nowszej, choroba nerwów — megalomanią, obłędem wielkości zwana, wielkie sprowadza zboczenia. Lecz, jeżeli w sztuce takie zboczenia tylko pewną wywołują dziwaczność, która więcej autorowi niż publiczności szkodę przynosi (jakkolwiek często rzecz ta tak zupełnie niewinną nie jest!) to w polityce sprawa ta zupełnie inaczej się przedstawia. Dzieje starożytne dostarczają nam wiele więcej przykładów szkodliwych ludzkości megalomanów, aniżeli dobroczyńców swych narodów i krajów. Na jednego z tych ostatnich przypada dwudziestu obłąkanych wielkością... Komuż są obce nazwiska Kambyzesa, Sezostrysa, Ramzesa, lub nawet Aleksandra W., który w dzieciństwie się troszczył, iż ojciec świat cały zawojuje, a jemu nic do łupienia nie pozostanie? Ale i nowsza historya może się poszczycić takim Ludwikiem XIV, Karolem XII lub Napoleonem I, którzy przeszli przez świat wśród morza krwi i pożarów, w swą wysoką zapatrzeni gwiazdę... Ograniczonym wydaje się to wielkością, ale była to wielkość pozorna, gdyż Karol XII swą pychę opłacił więzieniem i marną śmiercią, a Napoleon dwukrotnem wtargnięciem obcych wojsk do kraju, straszliwem wyniszczeniem Francyi, która się całej Europie podejrzaną stała i ostatecznie plon zasiany pod Jeną i Eylau zebrała na polach Sedanu... Od Napoleona I chwieje się budowa Francuzkiego państwa, a gmach Europy w głębokie rysuje szczeliny.

„Czyż nie to samo względnie do Włoch — mówi dalej Lombroso — da się powiedzieć o Crispim, o ministrze, którego pisma zagraniczne wielkim zowią, a który prawdopodobnie obłędowi wielkości jedynie podlega. Burzliwy jego umysł — zbyt często uchodzi to za wielki umysł — wytwarza potwornie gigantyczne pomysły, szkoda tylko, że ze środkami kraju w żadnym niezostające stosunku. Pomysły te uważa szeroka, nawet dyplomatyczna publiczność za genialne, podczas, gdy już sam brak wszelkiego stosunku między niemi a faktami realnemi — wystarcza, aby je wprost bezrozumnemi nazwać. Crispi, zawikławszy Włochy w wyprawy afrykańskie, sądzi teraz po wynalezieniu terminu „kolonie erytrejskie“, że zdwokackiemi układami i papierowemi traktatami abisyńskich królów w ich niedostępnych górach dosięgnąć zdoła, — podczas gdy ci za kilka miesięcy wszystkie jego papiery wyśmieją. Wybuchają zaburzenia lokalne w dwóch czy trzech małych gminach Sycylii, a Crispi nietylko zawiesza stan oblężenia nad całą wyspą, lecz jeszcze wysyła w dodatku całą armię, której transport i utrzymanie przeszło osiem milionów lirów kosztuje i to wtedy, gdy jeden lub dwa pułki, popierające trochę sensu władz pacyfikacyjnych, całe zajście uśmierzyćby zdołały! W Crispim uosobiony jest polityczny obłęd wielkości, który wszystkie stosunki i fakty rze-

---

Włodzimierz Korolenko.

DZIWNA.

SZKIC.

(Dokończenie.)

Wysłuchał ją pułkownik i nic, — spokojnie odpowiada:

— Nie mogę, nic nie mogę dla pani zrobić. — Według prawa.... niemożna. —

Patrzę, moja panna poczerwieniała cała, oczy jak węgle. —

— Prawo! mówi i zaśmiała się po swojemu gniewnie i głośno. —

— Tak jest, — odpowiada pułkownik, — prawo! —

Muszę przyznać, żem się cokolwiek zapomniał i odezwałem się!

— Wasza miłość, takie prawo jest, lecz ona chora, — spojrzał na mnie surowo....

— Jak się nazywasz? — spytał. — A pani, mówi, jeżeli choroba dokucza, czy nie łaska do szpitala więziennego?

Odwróciła się od niego i słowa nie rzekłszy odeszła. — My za nią. — Iwanow do mnie:

— Co teraz będzie? przez ciebie, bałwanie, nawarzyliśmy piwa, które trzeba będzie wypić! — kazał konie zaprzęgać i nie chciał słyszeć nawet o przeczekaniu nocy, tak że trzeba było jeszcze tej samej wyjeżdżać. — Poszliśmy do niej i mówimy:

— Niech pani pozwoli, — konie już gotowe — siedziała zaś na kanapie, chcąc się zapewne trochę ogrzać. — Skoczyła na te słowa, wyprostowała się i patrzy na nas, aż mnie ciarki przeszły. —

— Przeklęci! — zawołała i znowu niezrozumiale po swojemu przemówiła. — Zdaje się, że po rosyjsku, a jednak niepodobna tego zrozumieć. — Tylko gniewnie i z jakąś boleścią mówiła!

— Teraz możecie mnie zamęczyć nawet, macie mnie w swej mocy, — róbcie ze mną, co chcecie. Jadę!

A samowar na stole stoi, — ona zaś herbaty jeszcze nie piła. — Zaparzyliśmy z Iwanowem herbaty i jej także nalałem. — Miałem chleba białego, — odkrajałem dla niej kawałek.

— Niech się pani napije na drogę, — mówię. — Chociaż trochę dla rozgrzania. — A kładła akurat kalosze. — Obróciła się do mnie, popatrzyła, plecami ruszyła i mówi:

— Cóż to za człowiek doprawdy? Zdaje mi się, żeście zupełnie zwarjowali. — Będę pić ich herbatę.....

Niech sobie pan wyobrazi, jak mi się przykro zrobiło. — Teraz jeszcze, gdy sobie o tem przypomnę, niemiło mi jakoś.... Ot pan nie brzydzi się z nami chleb — sól jeść! — Rudakowa, pana z panów, wieźliśmy, — ten także nie gardził. — A ona wzgardziła..... kazała sobie potem osobno samowar nastawić, no i wiadomo: za herbatę sama zapłaciła.... Dziwna! —

Hawryłow zamilkł i przez czas niejaki cisza w izbie zapanowała; przerywało ją tylko jednostajne sapanie młodszego żandarma. —

— Pan nie śpi? — spytał Hawryłow. —

— Nie, — proszę, mówcie dalej! słucham. —

— ...... Dużo się od niej wtedy nacierpiałem, — ciągnął dalej Hawryłow. — W drodze pogoda była okropna.... Deszcz lał strumieniami, las huczał i wył; ciemno było, — choć oko wykol, a jednakże dotąd jeszcze dniem i nocą widzę jej postać: te oczy, i twarz jej zachmurzoną i bladą i ją biedną zziębniętą, zapatrzoną gdzieś wdal bez pamięci.....

Gdyśmy ruszyli, chciałem ją okryć kożuchem. —

— Niech pani włoży to na siebie, mówię, zawszeć to cieplej.... Odrzuciła kożuch precz. To do was należy, mówi, to i kładźcie na siebie. — Kożuch w istocie był mój, wziąłem się jednak na sposób i mówię:

— Nie mój jest, jako żywo: wedle prawa należy się pani.....

Włożyła. — Ale i to nie wiele pomogło; gdy już świtać zaczęło, patrzę, a ona biedaczka ni żywa ni umarła. — W drodze kazała Iwanowowi siąść na kozioł. — Zaczął mruczeć, lecz nie miał odwagi się sprzeciwiać, — tem bardziej, że już wytrzeźwiał trochę. — Usiadłem koło niej. — Trzy doby jechaliśmy bez odpoczynku. — Według instrukcyi na nocleg zatrzymywać się nie wolno, a w razie wielkiego zmę-

czywiste w potwornie przesadzonych widzi rozmiarach. Czyny jego, zdradzające zupełne niezrozumienie tego, co się naokoło niego dzieje, nie są wcale genialnemi; świadczą jedynie o dziwnej gwałtowności jego umysłu. Lecz ponieważ żaden przeciętny człowiek na takie czyny się nie zdobył, uważa wielu tę dziwaczność za... genialność. Tak samo był Ludwik XIV, król słoneczny, tak samo Karol XII za genialnego uważany. Prawda, obłęd wielkości mężów politycznych, czy też geniuszów, czy szaleńców kończy się z nimi, a nawet wcześniej — stokroć zgubniejszym atoli jest obłęd wielkości ludów. Lud, z natury, jak dziecko, goni za wielkością, za zdobyczą; nie chciałby nigdy nic swego zagubić, ale zawsze coś zyskać i dla tego mirażu gotów poświęcić niejedno dobro posiadane, niejedną godzinę spokoju i własnego szczęścia".

Dotąd Lombroso. Przenikliwy umysł naturalisty psychologa jakby się lękał, aby megaloman Crispi nie pociągnął za sobą do megalomanii Włoch i nie przyprawił już nietylko o straty w Afryce, ale o zachwianie stanowiska i bytu wywalczonego tylu ofiarami i poświęceniem tylu szlachetnych i rozumnych ludzi w Europie. Jakby na potwierdzenie tych obaw, doniosły ostatnie depesze o dziwacznym, jeżeli nawet nie o śmiesznym poprostu zamiarze Crispiego, ogłoszenia króla Humberta: cesarzem Etiopii! Każdy rozsądny i chłodny człowiek musi się wprost zapytać, co ma znaczyć ta maskarada, nie nowa w pomyśle, bezskuteczna w praktyce, bez doniosłości dla przyszłego rozwoju Włoch i Afryki. Czy wszystkie tytuły amerykańskie zabezpieczyły Hiszpanię i Portugalię od upadku politycznego i ekonomicznego, gdy runęła podwalina ich potęgi — dzielność wewnętrzna narodu? Czy panowanie królowej Wiktoryi stało się silniejszem w Indyach z chwilą włożenia na jej głowę przez Disraelego korony cesarskiej? Była w tem przynajmniej jakaś oryginalna świeżość pomysłu w dziewiętnastym wieku — ale plagiat p. Crispiego jest wprost niesmaczny. W chwili, gdy Włochy zmarnowały ćwierć wieku na ściganiu politycznej mary „wielkiego mocarstwa" w Europie, niezdoławszy poprawić ani socyalnego stanowiska ludu, ani zapewnić jego ekonomicznego rozwoju i postępu oświaty, w chwili, gdy położenie stało się tak złe, jak gorszem chyba być w kraju wolnym nie może; w takim momencie ogłaszać panującego cesarzem Etiopii — jest to mianować go prawdziwie in partibus infidelium, jest to więc poprostu żartować z jego godności i położenia państwa! Pan Crispi naturalnie zna daleko lepiej, niż my, cośmy raz lub dwa do Włoch zajrzeli, kraj swój i naród swój, może więc właściwiej osądzić, o ile nowy tytuł króla podoba się jego współziomkom, wzbudzi w nich zapału; sądząc jednak zdala i kierując się prostem chłopskiem orzeczeniem: co po tytule, kiedy pustki w szkatule — wątpić można, aby Włochom było lżej, gdy ich król zostanie cesarzem w Afryce... Palący deficyt około 80 mil. lirów rocznie pewno się z tego powodu nie zmniejszy, a wydatki na armię do 370 mil. dochodzące i stanowiące 23 do 25 proc. budżetu nietylko się od tego nie zmniejszą, ale powiększą, skoro Włochy odnośnie do nowego tytułu króla będą starały się podtrzymać i swą władzę w całej Etiopii. Ażeby zaś objawione tym sposobem pretensye włoskie do rozległych krain afrykańskich miały ułatwić poprawę stosunków między Kwirynałem a pałacem Elizejskim, gdzie przy okazyi uwierzytelnienia nowego posłą włoskiego wypowiedziano sobie mnóstwo czczych komplimentów — w to również uwierzyć niepodobna.

Cóż więc zamierzył p. Crispi osiągnąć swym szczególnym aktem, ucesarstwienia króla Humberta? Powiadają, iż tym sposobem pragnie on zyskać jakieś popularne hasło do wyborów majowych, aby pod tem hasłem zapewnić sobie wygodniejsze, niż dotąd, stanowisko w rządzie i izbie. Czy to możebne? Czy Włochy są tak niedojrzałym narodem, iż nie widzą szaleństw człowieka, opanowanego przez obłęd wielkości i władzy, czyż nie dostrzegają, iż tylko spieszne wycofanie się z tak zwanego „trójprzymierza", redukcya armii do rozmiarów naturalnych sił finansowych państwa i zgoda rzetelna ze wszystkiemi mocarstwami, a z drugiej reformy agrarne, ekonomiczne, administracyjne na wewnątrz — mogą wydźwignąć je z upadku. Wybory tegoroczne będą pod tym względem decydujące i wykażą, czy kraj otrzeźwiał, czy posiada jeszcze zdrowy zmysł polityczny, którego Włochom nie zbywało dotąd nigdy, czy też uległ już niebezpiecznej zarazie megalomanii i śladem swego pierwszego ministra, idzie zapatrzony w „swą gwiazdę" wprost do przepaści, a przynajmniej do smutnych wstrząśnień, które o pół wieku mogą go cofnąć z drogi cywilizacyi i dobrobytu. Dla równowagi europejskiej byłby to wypadek wcale niepożądany i życzyć raczej można ludowi słonecznej Italii, aby czemprędzej pozbył się swego megalomana i odetchnął zdrowszem i normalniejszem, niż dotychczas życiem.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Goniec Wielkopolski" poddaje w nr. 58 ostrej krytyce postępek ks. *Librewskiego*, inicyatora procesu Tarnopolskiego. Czytelnicy nasi znają przebieg sprawy z feljetonu „Sulli" zamieszczonego w ubiegłym numerze. Feljeton ten nie spodobał się stojącemu pod wpływami ks. Laubitza „Dziennikowi Kujawskiemu", który solidaryzuje się z prokuratorem austryackim i wcale niedwuznacznie wyraża życzenie, aby oskarżeni o zdradę stanu gimnaziści polscy przesiedzieli się lat kilka w więzieniu, a w końcu napada na redaktora pisma naszego za to, że nie zataił winy ks. *Librewskiego* przed gronem czytelników swoich. „Dziennikowi Kuj." odpowiadamy, że, jeżeli życzy młodzieży Tarnopolskiej pokuty w murach więziennych, to przedewszystkiem własnych patronów przed pruskim prokuratorem oskarżyć powinien z powodu ich głośnej „Sturm- i Drangperiode" w gimnazyalnych czasach. Przedawnienie jeszcze nie nastąpiło. Co zaś do ks. Librewskiego to my wraz z „Dzien. Kuj." ubolewać możemy nad postępkiem spowiednika, ale taić go nie myślimy i cytujemy bez wahania sąd „Gońca Wielkopolskiego" w tej sprawie:

„Musiał też Kościół uciec się do środków formalnej natury, aby zapewnić spowiedzi warunki konieczne, niezależnie od większej lub mniejszej doskonałości spowiednika. Do takich to środków należy przedewszystkiem zakaz zdrady tajemnicy spowiedzi. Cel tego zakazu jest ten, aby przystępujący do spowiedzi miał pewność, że z tej czynności religijnej nie może urość dla niego żadne niebezpieczeństwo odpowiedzialności za swe grzeszne uczynki przed sędziami ziemskimi, aby rzeczywiście był wolnym od obawy niekorzyści lub kar doczesnych.

Na tem stanowisku poszanowania tajemnicy spowiedzi stoją także państwa, które nietylko zrzekają się korzyści ze zdrady tej tajemnicy, ale nawet surowo taką zdradę karzą.

A choć wszelkie przepisy, jak powiedział ktoś dowcipny, istnieją poto, aby je obchodzić, to przecież sądzę, że nikt nie będzie tej maksymy stosował także do przepisów o zdradzie tajemnicy konfesyonału, a już najmniej przystawałoby to księdzu katolickiemu.

Niestety jednak wydarzył się taki wypadek u nas, a wypadek ten jest tem więcej ubolewania godny, że pociągnął za sobą bardzo smutne następstwa. Zdaje się bowiem być dowiedzionem, że cały proces tarnopolski, który dwudziestu i sześciu młodzieńców postawił

---

czenia tylko w miastach, gdzie są straże. — No, a pan sam wie dobrze, jakie tu są miasta. — A przy tem sama nagliła, — jaknajprędzej chciała być na miejscu. —

Przyjechaliśmy nareszcie na miejsce; jakby kamień z serca mi spadł, gdy miasto nareszcie zobaczyłem. — A muszę panu powiedzieć, że w końcu na rękach nieledwie ją przywiozłem. Widzę, że leży w kibitce jak nieżywa; przy każdem wstrząśnieniu głową o brzeg uderza. — Objąłem ją prawą ręką i wiozłem. — Z początku odepchnęła mnie, — precz, mówi, nie dotykać się! — A potem już nic..,. Pewnie dlatego, że nieprzytomna była.... Oczy zamknięte, powieki ściemniały i twarz nie taka groźna była.... I nawet uśmiecha się przez sen, — pewnie do swych pięknych snów...

Gdyśmy już do miasta dojeżdżali. obudziła się i podniosła.... Pogoda zrobiła się lepsza, nawet słońce z za chmur wyjrzało, — powesela i ona. —

Z gubernii, t. j. z miasta gubernialnego, wysłali ją jeszcze dalej i ja ją wiozłem w dalszym ciągu, gdyż miejscowi żandarmi byli w rozjazdach. — Chociaż bardzo zmęczona, wyjeżdżała jednak jakaś weselsza. — Na samym wyjezdnem, — patrzę, a tu schodzą się na policyę młode panny i panowie studenci, pewnie z zesłanych. — I zupełnie jak znajomi rozmawiają z nią, ściskają ją za rękę, rozpytują. — Przynieśli jej trochę pieniędzy i chustkę na drogę. — Odprowadzali.....

Jechała wesoła, kaszlała tylko często, na nas zaś najmniejszej uwagi nie zwracała. — Przyjechaliśmy do miasta powiatowego, gdzie miała zamieszkać i oddaliśmy ją za poświadczeniem. — Zaraz wymieniła ona jakieś nazwisko. — Czy tutaj mieszka ten pan? — pyta. — Tutaj, — odpowiadają. —

Przyjechał „isprawnik".*) — Pyta: — gdzie pani zamieszka?

— Nie wiem, odpowiada, ale tymczasem mieszkam u Riazanowa. —

Pokiwał głową, a ona poszła, nie pożegnawszy się z nami....

— I nie widzieliście jej więcej? —

— Widziałem, ale lepiej było nie widzieć.....

I nawet prędko ją znowu zobaczyłem. — Po powrocie z tej podróży, znowu nas wysłano w tę samą drogę. Wieźliśmy jednego studenta. Był wesoły bardzo, ładnie śpiewał i wypić także lubił. Jego jeszcze dalej wysłali. Przejeżdżaliśmy przez to miasto, w którem ją zostawiliśmy i ciekawość mnie brała dowiedzieć się o niej co nieco. Pytam ludzi, czy tu panna nasza mieszka? Mówią, że tu, ale dziwna ona jakaś; zaraz po przyjeździe poszła do „politycznego"**) i nikt jej od tego czasu nie widział. mieszka u niego. Jedni mówią, że chora, drudzy plotą, że nałożnicą mu jest. Wiadomo, jak zwykle pospólstwo.

A ja wiem, jak ona z nim żyje. Pamiętam co mówiła: — u swoich umrzeć chcę. — I ciekawość mnie coraz większa brała, a i ciągnęło mnie tam coś. Pójdę, myślę, zobaczę ją. Poszedłem, dobrzy ludzie drogę pokazali; a mieszkała na końcu miasta. Domek był mały, drzwi niziutkie. Wszedłem do mieszkania „politycznego", czysto u niego, pokoik jasny; w kącie łóżko stoi, przy łóżku parawan. Obok jego warsztat i tam na ławce druga pościel leży. Gdy wszedłem, siedziała akurat na łóżku, okryta szalem i coś szyła. A „polityczny" obok niej na ławce i coś jej z książki czytał. Ruszyłem drzwiami; spostrzegłszy to podniosła się, za rękę go uchwyciła i jakby skamieniała. Oczy jej się rozszerzyły, ściemniały i były takie straszne..... Zupełnie, jak przedtem, tylko że zdała mi się jeszcze bledszą. Za rękę go mocno ścisnęła; przerażony rzucił się do niej.

— Co pani jest, pyta, na miłość boską? niech się pani uspokoi. A mnie nie widzi. Puściła jego rękę i chce wstać z łóżka.

— Żegnaj pan, mówi, widocznie zazdroszczą mi oni nawet śmierci spokojnej. Do widzenia panu! —

Odwrócił się instynktownie, ujrzał mnie i jak nie skoczy.... Myślałem, że mnie na miejscu zabije. Wie pan, oni sądzili, że znowu ją brać przyśliśmy. Zauważył jednakże, że stoję ni żywy, ni martwy, sam przelękły i przytem jeden.... Odwrócił się do niej, wziął ją za rękę i roześmiał się.

— Niech się pani uspokoi, mówi, — a wy, — zwraca się do mnie, — czego przyjacielu potrzebujecie? —

Żałowałem bardzo, żem ją tak przestraszył. Powiedziałem mu, że przyszedłem ją zobaczyć, a i ona mnie tymczasem poznała. Widzę że, gniewa się wciąż, zupełnie tak jak przedtem. —

*) urząd policyjno-żandarmski.
**) przestępca polityczny.

przed trybunałem karnym, wynikł z takiego właśnie postępku kapłana“.

Scharakteryzowawszy następnie przebieg głośnej sprawy, tak pisze „Goniec Wielkopolski:

„Otóż, pomijając już niemoralny przykład zdrady zaufania prywatnego, wprost wyłudzonego podstępnie przez postawienie obok „słowa honoru“ jakiegoś innego „słowa — bez honoru“, które ks. Librewski uważał za stósowne złamać, musimy nadto uczynić księdzu L. zarzut jeszcze cięższy w tym kierunku, iż przez polecenie, konfesyonantowi przy spowiedzi dane, wręcz wykroczył przeciw obowiązkom spowiednika. Nietylko bowiem powinien kapłan w konfesyonale zapomnieć o wszelkich sprawach świeckich i swoich urzędach państwowo-świeckich, a być tylko duszpasterzem-pocieszycielem, ale tem bardziej powinien powstrzymać się przy tej sposobności od podobnych poleceń w interesie publicznej władzy karnej, które naturalnie na młody umysł mogą działać z niepokonaną siłą“.

Dla informacyi czytelników naszych donosimy, że ks. *Librewski* zrezygnował na razie z swej posady w formie „urlopu“, a wszyscy oskarżeni uwolnieni zostali przez sąd przysięgłych.

—

W nr. 56 „*Gazety Toruńskiej*“ czytamy następujący przyczynek do historyi polsko-niemieckich stosunków. Rzecz dzieje się w mieście St. na Kociewiu:

W pewnej oberży pańskiej przy pańskiej ulicy, gdzie bywa cała polska intelligencya a zwłaszcza księża z całej okolicy, bawili dwaj Polacy, jeden z intelligencyi a drugi porządny i przyzwoicie ubrany rzemieślnik — oczywiście rozmawiali po polsku. Siedzący w pobliżu jakiś budowniczy Niemiec nie mógł znieść dźwięku polskiej mowy, a więc powiada: „So hören Sie endlich mit dem Polnischen auf, immer das dumme Polnisch itd.“ (Zaniechajcie wreszcie polskiej mowy, wiecznie ta głupia polszczyzna i t. d.) Na to Polacy dobrze się odcięli Niemcowi, który przeto pobiegł do gospodarza i rzekł do niego podniesionym głosem: „Nun wählen Sie, entweder verlieren Sie die deutsche oder die polnische Kundschaft.“ (Wybieraj pan teraz, stracisz albo niemieckich albo polskich gości).

Gospodarz, Polak z krwi i z nazwiska, zamiast zuchwalca pouczyć, że w jego lokalu każdy gość ma prawo mówić swoim językiem, że wszyscy goście równie mu są mili, przez co z pewnością na utratę klienteli niemieckiej by się nie naraził, od razu stanął po stronie Niemca. Nie mając zaś odwagi zaczepiać pana z intelligencyi, wezwał rzemieślnika, aby opuścił lokal, a gdy ten wskutek zachęty swego towarzysza pozostał na miejscu, wziął go gospodarz za kołnierz. Oczywiście obydwaj Polacy niezwłocznie się wynieśli“.

—

„Dziennik Kujawski donosi w nr. 55:

„Pana Neukircha, nauczyciela z Juńcewa, ukarał inspektor ze Żnina pięciu markami porządkowej kary za to, że p. N. we wolnym czasie z dziećmi szkólnemi chodził na mszę św. do kościoła. Regencya bydgoska zaś, do której się p. N. z prośbą o zniesienie niesłusznie nałożonej kary odniósł, dołożyła mu jeszcze dziesięć marek z tem nadmienieniem, że jeżeli się p. N. jeszcze raz podobnego karygodnego czznu dopuści, będzie natychmiast z urzędu złożony. Podpisany jest na rzeczonym ukazie p. Maltzan, zięć prezesa regencyi Bydgoskiej, p. Tiedemanna, znanego dostatecznie ze swego kategorycznego orzeczenia wystósowanego do Polaków: „Die beste Deckung ist der Hieb!“

—

„*Nowiny Raciborskie*“ zamieszczają taką *charakterystyczną* korespondencyę z Ruderswald na Górnym Szlązku (Nr. 30):

„Czytając numer 28 „Nowin Raciborskich“, natrafiam artykuł tyczący „odczytu“ posła konserwatywnego p. Segetha z Lubomi, nad którym po prostu osłupiałem! Pan Segeth twierdził w swoim odczycie, iż członkowie towarzystwa polskiego w Haci i Ruderswaldzie zakazali pewnemu 15-letniemu chłopcu mówić przed sądem po niemiecku. Twierdzenie to jest prostym wymysłem bez wszelkiej podstawy, bo ani w Haci, ani w Ruderswaldzie nie istnieje żadne towarzystwo polskie, ani żadne inne jak tylko wojańskie (Kriegerverein), które jest nawskroś p a t r y o t y c z n e i nigdy nikomu podobnych rad ani rozkazów nie dawało. ...Co się zaś tyczy wioski Ruderswaldu, to ubolewam, że p. Segeth nie był tu przytomny w takie dni uroczyste jak w zeszły dzień urodzin naszego Najjaśniejszego i Najmiłościwszego Pana i dla tego nie ma pojęcia, jak ten polski ludek pospołu ze związkiem wojańskim przy nabożeństwach, które się odprawiają na intencyą tegoż związku za Najjaśniejszego Monarchę gorliwie się modli i pełną piersią nabożnie śpiewa. Usłyszałbyś wtedy, p. Segeth, jak kapela gra patryotyczne hymny niemieckie, które prezes związku intonuje, i widziałbyś łzy radości i oznaki miłości i uszanowania dla cesarza, gdy po zaprezentowaniu broni niżej podpisany prezes wzdłuż frontu niósł obraz jego i wznosił okrzyk na cześć jego. Te głośne wiwaty weteranów wojskowych, pochodzące z głębi piersi, byłyby pana posła przekonały, że się mylił.

Fr. Gonsior,
prezes związku wojańskiego i członek urzędu gmińskiego.“

—

„*Orędownik*“ tak charakteryzuje w nr. 58 stosunki w szwalniach poznańskich:

„Znamy nie jeden, ale więcej takich przypadków, że dziewczęciu płacą tyle co nic, bo to nauka; cały rok każą mu przyszywać same rękawy i taka panna z całej nauki ma tyle, że umie tylko rękawy przyszywać. Idzie więc do innego składu; tam ją biorą znowu w naukę, każą zszywać same spodnice. o dwóch latach nauki matka odbiera córkę, bo córka niczego nie zarabia i niczego się nie nauczy, tylko umie przyszywać rękawy i zszywać spodnice. I znowu ojciec musi pracować na wyżywienie córek; do innych handlów lub szwalni nie przyjmą ich, bo im powiedzą, że nic nie umieją, tylko szyć rękawy i spodnice.

Mało jest takich szwalni większych, gdzie dziewczę przez dwa lata wyuczy się szycia tak, że może się zgłosić, gdzie chce. Są w Poznaniu handle, które tylko w ten sposób pracują dziewczętami; każą im szyć tylko pewne części, płacą licho, więc towar tanio sprzedają i zarabiają tylko na naszych licho płatnych dziewczętach.

Są handle i szwalnie, gdzie w ten sposób dziewcząt nie wyzyskują, gdzie je naprawdę uczą szycia i jako tako uczciwie im płacą, ale takich handli i szwalni nie jest w Poznaniu wiele i dla tego choć się tam dziewczęta cisną, to wszystkie umieszczone być nie mogą.

Nigdzie szwaczek tak nie wyzyskują, jak w Poznaniu“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Chorwacki „*Obzor*“ rozpisuje się, jaką doniosłość dla całej Słowiańszczyzny mają nominacye na urząd rosyjskiego ministra spraw zagranicznych i ambasadora rosyjskiego w Wiedniu. Dziennik zagrzebski pisze:

„W Rosyi istnieją dotychczas dwie szkoły dyplomacyi: jedni dyplomaci wychowani w duchu obcym, sympatyzującym z Niemcami, drudzy są dyplomatami iście słowiańskimi, rosyjskimi. Nasze sympatye skłaniają się oczywiście ku ostatnim, albowiem pierwsi nie znają prawdziwej misyi słowiańskiej, jaką ma do spełnienia Rosya.

„Dopiero po wstąpieniu na tron Aleksandra III wpływ niemiecki został na dworze osłabionym, niestety nie usuniętym zupełnie. Aleksander III był Rosyaninem, ale nie był on w stanie zerwać od razu z polityką dawniejszą. Kierunek Niemcom wrogi wziął atoli ostatecznie górę i daremnemi okazały się wszelkie zabiegi wroga Słowian, ks. Bismarka, ażeby akcyę słowianofilską na dworze petersburskim sparaliżować.

„Naturalnie, nie można brać za złe zmarłemu carowi, że nie potrafił wpływu niemieckiego złamać do szczętu, bo wpływ ten jest głeboko zakorzeniony. Reprezentantem tego kierunku był zmarły Giers, aż do śmierci dzierżący tak ważny urząd w swem ręku. Na szczęście był zmarły wiernym sługą cara, popierał go w polityce pokojowej gorliwie, a właściwym kierownikiem polityki zewnętrznej był car sam.

Kto będzie obecnie ambasadorem w Wiedniu? Nie chcemy zgadywać. O młodym carze sądzimy, że prowadzić będzie dalej program swego ojca, może z tą zmianą tylko, że działać będzie energiczniej.

„Spodziewamy się, że ambasadorem w Wiedniu zamianuje męża, żywiącego uczucia sympatyi dla Słowian, którego zadaniem będzie utrzymywanie jak najlepszych stosunków z Austryą, mając to na uwadze, że większość ludności w państwie austryackiem jest pochodzenia słowiańskiego. Ze względu na tę solidarność moralną Słowiańszczyzny — nie mówiąc o solidarności politycznej — nie może nam być obojętnem, kto ambasadorem zostanie.

„Nikt więcej od nas nie pragnie, aby stosunki pomiędzy Austryą a Rosyą były przyjazne. Na tem polega gwarancya pokoju europejskiego; przyjaźń austro-rosyjska dałaby możność rozwiązania pokojowego kwestyi wschodnich i nie doprowadziłaby do wojny powszechnej w razie zatargu niemiecko-francuzkiego.

„Rosya nie mięszała się nigdy do wewnętrznych spraw naszej monarchii. Nie ma atoli żadnej tajemnicy, że Niemcy często do spraw wewnętrznych się wkręcali, że Austrya musiała im robić niejednokrotnie ustępstwa.

„Wyrażamy z drugiej strony i pewne obawy co do decyzyi młodego cara. Historya nas

---

— Zdaje ci się człowieku, że całem sercem rad byś usłużyć, a ona patrzy jak na żmiję jadowitą.... —

On zrozumiał, o co idzie, uśmiechnął się do niej i zaczął jej coś mówić. Nie wszystko z tego mogłem zrozumieć, wy przecież, panowie, tak dziwnie z sobą rozmawiacie! On mówi spokojnie i poważnie, a ona z gniewem i lekceważąco. „Polityczny“ mówi:

— Niech pani zrozumie: człowiek, a nie żandarm do pani przyszedł. —

A ona mu odpowiada:

A dlaczego służy? —

— Boże mój! myślę sobie, czyż nie jestem człowiekiem dla niej? Czy to z własnej woli jej coś złego wyrządziłem? Gorżko mi się zrobiło. —

— Pani wybaczy, mówię, żem ją przestraszył. —

— To nic, odpowiada, żeście mnie przestraszyli. Rzecz nie w tem. —

— Głupio mi było tam siedzieć, więc mówię: „do widzenia!“ A ona nic nie odpowiedziała; on zaś odwrócił się do mnie, podał mi rękę, spytał, gdzie jedziemy....

— Będziecie wracać z powrotem, to wstąpcie, proszę — mówi.

A ona patrzy na niego i uśmiecha się po swojemu.

— Nie rozumiem, — powiada.

A on jej:

— Zrozumie pani później, serduszko ma pani dobre. —

Gdyśmy nazad wracali, zawezwał naczelnik „starszego“ do siebie i mówi mu:

Zostaniecie tutaj, aż do dalszego rozporządzenia; dostałem telegram: papier dla was pocztą przyjdzie. —

Zostaliśmy. I znowu poszedłem do nich, t. j. właściwie nie do nich, a tylko koło ich domku krążyłem, a tam myślę sobie, chociaż przez gospodarzy dowiem się o nią. Zaszedłem. Gospodarz domu mówi:

— Źle jest, aby tylko nie umarła. Boję się odpowiedzialności, gdyż popa wołać nie chcą. —

Stoimy i rozmawiamy, a tu „polityczny“ do sieni wychodzi. Zobaczył mnie, przywitał i pyta:

— Znowu przyśliście? Proszę, wejdźcie. —

Wszedłem pocichu, a „polityczny“ za mną. Spojrzała ona i pyta:

— Znowu ten człowiek? Czy to pan go wzywał? —

— Nie, mówi, nie wzywałem, sam przyszedł. —

Nie wytrzymałem i pytam się jej:

— Za co się pani na mnie tak zawzięła? czy wrogiem pani jestem?

— Wrogiem, mówi, — a wy nie wiecie? Wrogiem moim jesteście! —

Głos jej osłabł i ścichł, na policzkach rumieniec się pali; taka ta twarz ładna, że zdaje się, iż się jej dowoli napatrzeć nie można....

Widzę: niedługo jej już słonko Boże oglądać, poprosiłem o przebaczenie, aby nie umarła, nie przebaczywszy.

— Niech pani wybaczy, mówię, jeżelim kiedykolwiek co złego jej wyrządził. —

Znowu, widzę, wzburzona....

— Przebaczyć! Jeszcze czego! Nigdy nie przebaczę, nawet nie łudźcie się, nigdy!

Hawryłow znowu zamilkł i zamyślił się.

Potem ciągnął wolniej i jakby z namysłem.

Znowu zaczęli z sobą rozmowę. Pan jesteś człowiekiem wykształconym, mowę ich rozumieć musisz, to i powiem, jakie słowa w pamięci mi utkwiły. Gdy zaczęli wolniej i spokojniej mówić, wsłuchałem się. Słowa do dzisiejszego dnia pamiętam, a sensu nie rozumiem.

On mówił:

— Niech pani zrozumie, że nie idzie tu o przebaczenie, człowieka niech pani w nim uzna. Inna rzecz — przebaczyć; on sam może nie przebaczyłby sobie. —

Potem już zupełnie dziwnie zaczęli rozmawiać; patrzą na siebie zimno i zdają się sprzeczać. On jej mówi:

— Pani jesteś zaślepiona. —

— A pan, — odpowiada mu, — chłodny i obojętny człowiek. —

Usłyszawszy to, skoczył jak oparzony.

uczy, że Rosya niekoniecznie była szczęśliwą w wyborze swych dyplomatów. Dopiero od niedawna poczęły się rządy zmieniać na lepsze. Miejmy jednak nadzieję, że nowym ambasadorem w Wiedniu zostanie mianowany Rosyanin, nie Niemiec rosyjski, — że nowy ambasador pracować będzie w kierunku utrzymania zgody obu państw i w kierunku wzmocnienia solidarności słowiańskiej.

Ambasador rosyjski nie jest na to w Wiedniu, aby pilnował spraw niemieckich; jako reprezentant Rosyi niech baczy na interesa rosyjskie i słowiańskie."

* * *

„*Il Pensiero Slavo*" pisze z powodu zasądzenia dwóch redaktorów czeskich, co następuje;

„Redaktorowie „Narodnich Listów", Anyż i Pachmayer, zostali zasądzeni, jeden na zapłacenie 800 fl. kary, drugi na 4-miesięczne ciężkie więzienie, obostrzone postami.

„Pragskie „Narodni Listy" tak ze względu na świetny sposób redagowania, jako też dla różnolitości informacyi mogą być śmiało postawione obok najlepszych pism europejskich. „Narodni Listy" rozpowszechnione są po całej Słowiańszczyznie, a występują śmiało i otwarcie w obronie idei solidarności słowiańskiej. Kara taka spotyka je za to, że przytoczyły tenor mów Gregra, Czernohorskiego i Kannica, wypowiedzianych w sejmie czeskim. Prokuratorya numery te skonfiskowała, a obok tego wytoczyła proces, upatrując w przytaczaniu mów dowód tego, że pismo na tendencye w mowach wypowiedzianych się zgadza.

„Słowianie austryaccy uważają w traktowaniu surowem Czechów ze strony sądów pragskich dowód tego, w jakim stopniu nieprzychylnym jest nam rząd austryacki."

* * *

W tryesteńskim tygodniku „*Slovanski Swet*", wychodzącym w języku słowińskim, tak się rozpisuje autor podpisujący się „scholasticus quidam", o zadaniu młodzieży akademickiej słowiańskiej:

„Studenctwo słowiańskie zostało przed niedawnym czasem zorganizowane jednolicie; jako organizacya jednolita, mająca jeden zarząd, może dziś więcej zdziałać, aniżeli dawniej. Pierwszem naszem zadaniem będzie agitacya wśród ludności słowińskiej, aby ją przebudzić do życia narodowego. Masy ludu dają się poruszyć łatwiej hasłami socyalnemi, a raz już poruszone i obudzone, łatwiej nam będzie w ruchu utrzymać i ruchowi temu nadać charakter wyłącznie narodowy.

Już w niższych szkołach dbać musimy o to, aby nasza młodzież była przygotowaną do tej pracy, która ją czeka w szkołach wyższych. W gimnazyach przygotowywać ją będziemy do zadania, jakie spełniać musi młodzież akademicka naszego narodu. W naszych szkołach średnich niczego się nie czyni, coby mogło młodzież skierować na pole pracy narodowej. Mało mamy nauczycieli gimnazyalnych patryotów, mało Słowińcow, a ci, którzy Słowińcami są, boją się otwarcie do walki z germanizacyą wystąpić.

„Należy nam się obecnie spodziewać zmiany na lepsze, gdyż w nowem towarzystwie zorganizowała się młodzież cała, a zarząd powierzono ludziom najruchliwszym i najenergiczniejszym, świadomym odpowiedzialności, jaką na siebie wzięli.". *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Kobieta.

I.

Ach! kiedy w tobie utopi swe oczy,
W których się mienią blaski migotliwe,
Jak noc głębokie, jako płomień żywe —
I w tęsknych zwierzeń godzinie uroczej
Spłoniona szepce i w miłosnym szale
Dziewiczej duszy odsłania tajniki —
Ty słuchaj głosu dźwięcznego muzyki,
Co koi serca niestłumione żale,
Jak harf dźwięk cichy w zaklętej krainie.
A zasłuchany patrzaj, jak ponętnie
Lekką zasłoną łona chwieją fale,
I jaki urok z jej postaci płynie,
I jakim ogniem płoną ust korale,
I — gdy pozwoli — całuj ją namiętnie.

II.

Ale nie przenoś tych darów przyrody,
Które kobiety ciało stroją w cudy,
Na duszę jej, bo marzeń twych ułudy
Prysną, jak wiosną pękające lody.
Niechaj myśl twoja kształtem się zachwyca,
Niechaj się nurza w harmonijnej toni
Świateł, barw, linii — duszy niech nie goni. —
A kiedy blada, jak posągu lica,
I dziwnym czarem promienieje drżąca,
Niechaj poezya strun duszy nie trąca,
Uroków swoich ci w serce nie miecie,
I niechaj zimny rozum ci zabroni
Dosiadać lotnych wyobraźni koni,
To tylko... gorset zbyt ciasny ją gniecie.

St.

O niższości kobiety.

Słynny poeta szwedzki August Strindberg, znany zarówno z swych utworów scenicznych, jak głębokiej nienawiści do pięknej połowy rodzaju ludzkiego, zamieścił w najświeższym czasie w paryzkiem czasopiśmie „Revue Blanche" interesującą rozprawę „O niższości kobiety".

Konkluzyą jego jest, że kobieta — to stworzenie, które nie rozwinęło się całkowicie, które zatrzymało się w procesie swego rozwoju w stadyum młodzieńczem, nie doszło do harmonii i równowagi wieku dojrzałego i pozostało na całe życie chimerycznem dzieciakiem. By twierdzenie to udowodnić, chwyta się wszelkiego argumentu: waży jej mózg, mierzy czaszkę, zarzuca, że krew traci w najbezsensowniejszy sposób bez żadnego dla organizmu pożytku itd. Dowodów swych nie sprawdza; posługuje się wszystkiem, co mu wpadnie w rękę. Gdy napotka na coś, co przeciw teoryi jego przemawia, woła tryumfalnie: „Widzicie, kobieta o tyle jest niższą, że nawet mimo tej pozornej wyższości nie dorównywa mężczyźnie! Nawet kawy nie umie porządnie uwarzyć."

We Francyi wystarczy być oryginalnym, aby pozyskać rozgłos, fanatyzm zaś skandynawskiego pisarza mógł wszędzie zadziwić. We Francyi wywołał on zdumienie. We Francyi sprawa emancypacyi kobiet mniejsze zrobiła postępy, niż gdziekolwiekbądź indziej. Wedle napoleońskiego kodeksu, żona podlega mężowi pod każdym względem: majątkiem swym nie rozporządza, nawet zarobiony przez nią samą pieniądz mąż może trwonić, nie pytając o jej pozwolenie.

Nie może ona wnieść skargi z powodu niedotrzymanego przyrzeczenia małżeństwa,nie może dochodzić ojcostwa. Z życia publicznego wykluczona, bez możności zarobkowania, bez oparcia się w ten lub ów sposób o mężczyznę, ma utrudnioną pozycyę na każdym kroku. Tam, gdzie oddawać może równe z mężczyzną usługi, praca jej wynagradzaną bywa cztery razy gorzej i jeszcze natłok kandydatek niezmierny. Uczciwa dziewczyna, z wyjątkiem nielicznych specyalistek, pracować musi 10 godzin, by zarobić 2 fr. Na zmianę nie zanosi się zupełnie, chyba gdyby niewiasty chwyciły się dwóch środków, któremi przeprowadzają się tu reformy: rewolucyi lub bezrobocia. Uczęszcza wprawdzie znaczna ilość dziewcząt do uniwersytetu, ale w dwóch trzecich są to nie Francuzki. Prezydentka krzykliwej tutejszej ligi emancypacyjnej, panna Astia de Valsayre, zrzekła się swej godności, uzyskawszy patent na lekarkę.

W tych warunkach walkę wypowiadać niewiastom, starać się je poniżyć i upokorzyć, mus

— Obojętny? mówi, sama pani wie, że nieprawdę w tej chwili powiedziała! —

— Może być, — odpowiada i uśmiechnęła się do niego, — a pan prawdę powiedział? —

— A ja, prawdę! —

Zamyśliła się, wyciągnęła doń rękę; on ją ujął. Spojrzała mu w oczy i mówi:

— ....Może pan ma i racyę. —

A ja stoję, jak głupi, patrzę, a koło serca mnie ckli. Potem obróciła się do mnie, spojrzała i na mnie bez gniewu i podała rękę.

— Powiem wam, — mówi, — nie przebaczę wam nigdy, słyszycie? Nieprzyjaciółmi jesteśmy. Ale rękę wam podaję, życzę być człowiekiem.... —

— Zmęczyłam się, — mówi do niego.... Poszedłem.

Umarła prędko. Nie widziałem, jak ją chowali, gdyż byłem wtedy u „isprawnika". Na drugi dzień spotkałem tylko „politycznego". Podszedłem do niego, spojrzałem, a on jakby z grobu wstał. Wzrostu był on wysokiego i oblicza poważnego; przedtem przyjaźnie na mnie spoglądał, a teraz spojrzał jak zwierz. Podał mi rękę, lecz zaraz ją wyrwał i odwrócił się.

— Nie mogę, bracie, mówi, patrzeć teraz na ciebie. Odejdź, proszę.... na rany Chrystusa.... odejdź! Potem, jeżeli jeszcze będziesz w mieście, zachodź, proszę. —

Głowę opuścił i poszedł, a ja udałem się na kwaterę i tak mnie rozebrało, że przez dwa dni nic do ust brać nie mogłem.... Smutno....

Na trzeci dzień zawezwał mnie „isprawnik" do siebie i mówi:

— Możecie jechać; papier przyszedł ale za późno. —

Widocznie, znowu mieliśmy ją wieść dalej, ale Bog się zlitował i sam zabrał.

Nie koniec to jednak.

Ot, jakie potem zdarzenie miałem. Powracając, przyjechaliśmy na jakąś stacyę. Wchodzimy do pokoju, a tam na stole samowar stoi i zakąski różne, a przy stole jakaś staruszka częstuje gospodynię herbatą. Czyściutka taka, nieduża, wesoła i gadatliwa; ciągle gospodyni o swoich sprawach rozpowiada.

— Zabrałam, — mówi, — manatki, dom, com w spadku dostała, sprzedałam i pojechałam do mojej gołąbki. To się ucieszy. Będzie się gniewać napewno, ale i uraduje się! Pisała mi, żebym w żadnym razie nie odważyła się do niej jechać.... Ale to nic..... —

Przeczucie jakieś mnie tknęło.... Poszedłem do kuchni i pytam służącej, co to za staruszka?

A to matka tej panienki, — mówi, — coście ją wtedy wieźli.

W głowie mi zaszumiało na te słowa, nawet dziewczyna przelękniona spytała co mi jest.

— Cicho, — mówię, — ta panienka.... umarła! —

Jak nie skoczy, w płacz uderzyła i z izby uciekła.

Wziąłem czapkę i wyszedłem, słyszałem przechodząc, jak staruszka wesoło z gospodynią gawędziła. Straszno mi się jej zrobiło, uciekłem; potem Iwanow dognał mnie na drodze z kibitką i pojechaliśmy razem....

..... Tak to było. A „isprawnik" widocznie doniósł władzy, żem do politycznych chodził, pułkownik z J*** także nie darował, jedno z drugiem. Nie chcieli mnie na podoficera awansować.

— Co za podoficer z ciebie, — mówił naczelnik, — baba jesteś! Do kozy by cię bałwanie! —

Tylko że wtedy było mi to wszystko obojętnem i nawet niczego nie żałowałem. I nigdy nie mogłem tej zagniewanej dzieweczki zapomnieć, a i teraz ciągle przed oczyma mi stoi. Co to może znaczyć? Kto mi to objaśni? Ale wy, panie, nie śpicie?

Nie spałem..... Przygnębiająca ciemność zakopanej w lesie lepianki męczyła mnie niewymownie, a w takt szalejącej burzy wynurzał się z niej bolesny obraz zmarłej dzieweczki....

KONIEC.

wydawać się przedsięwzięciem po waryacku oryginalnem. Francuz, ebezwładniwszy kobietę na wszystkich polach, nie szczędzi jej kadzideł. Podnosi i idealizuje w niej te zalety, z któremi męzki egoizm znajduje swój rachunek: trzyma ją w klatce ozdobnej i złoconej bogato.

Niektóre dzienniki, utartym zwyczajem, urządziły plebiscyt wybitnych pisarzy o artykule p. Strindberga. „Mówić o niższości kobiet — pisze A. Daudet — toż w kobiecie widzę matkę“. „Nie jestem już, niestety, w wieku, w którym mógłbym z góry patrzeć na kobiety“ — odpopowiada Aleks. Dumas. Leon Daudet, syn, unosi się nad kobiecością kobiet, ale dodaje, że upominając sie o równe prawa, zrzekają się one swych przymiotów i prawa do jego uwielbienia i sympatyi. (Czy w ten sposób straciła jego sympatye żona, wnuczka W. Hugo. z którą się rozwodzi?)

W ogólności przeważa w tych odpowiedziach zapatrywanie: kobieta ani nie jest niższą, ani wyższą od mężczyzny; jest tylko odmienną.

Kraj.

Z beletrystyki angielskiej.

(*Hall Caine. — Grant Allen.*)

W promieniach wschodzących słońc prądy literackie wysechają na piaskach lub zaprzepaszczają w świeżych wód potokach, szkoły rozpadają jak domki z kart, teorye i ideały legają na śmieciach. Ewolucyom czasu stawia jedynie skutecznie czoło granitowy talent i z tego punktu widzenia pisarze dzielą się tylko na dwie kategorye: utalentowanych i nieutalentowanych.

Zwycięzcą Kronosa nie okaże się z pewnością najpopularniejszy bodaj w Anglii powieściopisarz Hall Caine. Podczas, gdy sfera umysłowego high-life'a nowym bóstwom znosi myrę i kadzidło, szerokie koła czytelników, stojące na przegniłym szczeblu duchowym z przed ćwierć wieka, łowią uchem w bibliotokach echa z dni ubiegłych, nad któremi ludzkość, rej wodząca, przeszła do porządku dziennego. Wprawdzie książka jest w każdym domu angielskim tak koniecznym pokarmem jak beefsteak i whisky, lecz nic dziwnego, że masy ślimaczym tylko krokiem posuwają się naprzód po gościńcu, wydeptanym krwawemi stopami przez wielkie wojownicze umysły. Tej Beocyi ulubieńcem jest autor „Syna Wyspy Mau“, powieści, która ujrzawszy się na półkach księgarskich w roku zeszłym rozeszła się, jak stary ser, w mnogich edycyach po kraju.

„The Mauxman“ jest jedną z tych koncepcyi, preparowanych według ścisłej recepty literackiej, o których krytyka nic nie mówi nagannego, bo wychodzą z pod pióra czytanego chciwie autora. Nie składa także dytyrambów, bo książka nie inspiruje nawet do klejenia dwu wierszy na karmelki. W końcu dopiero znajdzie się sumienny krytyk, który powie, co myśli i na takiego natrafił pan Hall Caine w osobie pana Gainsborough, na którego autorytet możemy się powołać.

W prowincyonalnym światku wysepki spotykamy dwóch młodych krewnych i przyjaciół Piotra i Filipa, z których pierwszy, dzięki zdeklarowanej głupocie, nie ma żadnej wady a drugi, mędrszy, — zakochuje się w kochance tegoż Kate, której najmilszem zadaniem jest wodzenie chłopaków za nos. Zapoznajemy się także z bardzo czarnego charakteru bogaczem, którego naturalnym synem jest Piotr, dalej z gderliwym ojcem Kate, młynarzem i wielu innymi budującemi kreaturami. Jeden wypadek goni drugi, ale autor, do Szekspira podobny (ale tylko z fizyognomii) i wielce z tego dumny, nie odkłada pióra wcześniej nim Numa, mimo wszystkie obstakle, nie wychodzi za Pompiliusza, a cnota nie odnosi walnego zwycięstwa, quod erat demonstrandum. Niestety, szablonowe charaktery nie zaciekawią czytelnika, który, według słów pewnego wybitnego krytyka, szuka w powieści „szerszego studyum z życia“. Wypadki spływają po czytelniku z szybkością kaskady po skale, nie przynosząc nic w ogólnych zarysach nieprzewidzianego, ani nawet sensacyjnego. Próżno szukałby czytelnik pięknego obrazowania lub zgrabnych dyalogów; nie ma tu miejsca na szczegóły, a talentu na epigramatyczne lub charakterystyczne rozmowy. Na domiar, obeznani dokładnie ze stosunkami lokalnemi zapewniają, że postacie w powieści nie mają nic wspólnego z rzeczywistem światem, a wyżej wspomniany krytyk odmawia autorowi nawet poprawności stylu. Zatem literacka wartość tej popularnej powieści równa się zeru.

„Literatura jest krową, którą tak długo doi się za pieniądze, aż nie daje samej wody“ — mówi Heine, a słowa jego znajdują zupełne zastosowanie do szczęśliwego autora, któremu woda doskonałe przynosi zyski i w dodatku rozgłos. Trudno atoli odmówić panu Hall Caine umiejętności dojenia swej krowy. Z pominięciem stylu nie można mu odmówić znajomości rzemiosła; powieści jego cechuje prawidłowa technika, co uderza tem więcej, że pisma mierzy na łokcie. Jednakże zaleta ta bynajmniej nie daje klucza do zrozumienia wielkiego powodzenia. Czemże ono się tłomaczy?

Ludzkość wznosi pomniki nietylko za to, co ktoś zrobi, lecz za to, czego nie zrobił. Otóż w przekonaniu sfery, wagę uznania dzierżącą w dłoni, byłoby brzydkiem postępkiem, gdyby autor zmuszał ją do myślenia. Myślenie bowiem nie każdemu służy. Samoistność, zakrój umysłu filozoficznego, poglądy społeczne, wszystko to balast, dobry dla — balonów, ale nie pisarzy, którzy za życia pragną widzieć się oprawieni w złocone ramki, bo ogół przebaczyć gotów wszystko, prócz — wyższości. Wprawdzie są talenty, które mimo wszystko zdołały wkraść się w łaski mas, wydrzeć im palmę i kiesę złota, ale tajemnicy ich powodzenia szukać należy w tej okoliczności, że, jakkolwiek wierni swemu ideałowi, nolens volens, rzucili smaczny kąsek na przynętę galeryi. Jakoż Zola zapuścił na te wody pornograficzną wędkę, a Ibsen blaguje zagadkowością swej dyalektyki. Obserwacya życiowa i psychologia mas potwierdza, że jeźli pióro autorskie nie powiada pewnych właściwości, któreby przemawiały śpiewnie po niemuzykalnej Beocyi, wzbraniając się zawrzeć z nią kompromis, żadnej krytyki hymny pochwalne nie wydobędą go z egipskich ciemności, w których przed okiem świata często ukrywają się perły umysłu i dyamenty talentu. Dlatego to miernoty jeżdżą powozami po zabłoconych ulicach, a geniusze chodzą pieszo — w podartych butach!

Jaskrawo oświetlił stosunki piśmiennicze zasłużony essayista i powieściopisarz p. Grant Allen, swą świeżo wydaną powieść p. t. „The Woman who did — takim charakterystycznym na wstępie opatrując dopiskiem:

„Pisałem w Perugii w r. 93-cim, starając się zaspokoić po raz pierwszy w mem życiu wyłącznie mój własny smak i moje sumienie.“

Wymowne wyznanie! Po tylu latach niezmordowanej działalności ogłasza obecnie dopiero utwór, w którym jest zupełnie szczerym. Szczęśliwy! Ileż bowiem naliczyćby się dało w szeregach bractwa literackiego takich, którzy nigdy nie złożyli na papierze swych myśli przędzy i szczerych uczuć kwiatów w obawie, aby im nie przyszło sypiać na idealnej przędzy a jadać same kwiaty. Szczęśliwy! Iluż bowiem jest takich, którzy nie mają się z czego spowiadać!

Nieknonicznie jest zrozumiałem, dla czego poplecznik teoryi Fryderyka Nietzschego i kreator t. z. Neo-Hedonizmu dopiero teraz ogłosił powieść tego pokroju, bo przed ukazaniem się „Kobiety, która się na to zdobyła“, zdobył się cały szereg pisarzy obojga płci na prace belletrystyczne, w których bohaterowie zdobyli się na odwagę, aby cisnąć rękawicę instytucyi małżeństwa bez zdobycia sińca z strony czytelników i paszportu do czeluści piekielnych dla szczerych autorów. Jak to uwydatnia się w jego essayach, p. Grant Allen lubi przybierać po-

---

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.

(Tłum. **H. St.**)

(Dokończenie.)

Wszystkie wielkie przemiany w życiu jednostki i ludzkości całej rozpoczynają i dokonują się przez reformę myśli. Bo chociaż zajdą zewnętrzne przemiany w życiu ludzkiem — choć ludzie głosić będą o przemianach uczuć i czynów — to jednakże życie ich nie przeobrazi się póty, póki nie przeobrażą się ich myśli. Lecz z chwilą, kiedy się myśli przeobrażą, to prędzej czy później, w miarę doniosłości tej przemiany, musi także nastąpić przemiana w uczuciach i czynach, tak, jak za obrotem steru, następuje obrót okrętu.

Chrystus nie nauczał początkowo temi słowy: to, a to czyńcie, zmieńcie takie a takie uczucia, — nie, on powiedział ludziom: „zmieńcie myśli wasze“, wejdźcie w siebie, zmieńcie wasze pojmowanie życia. On nie powiedział na wstępie ludziom: „kochajcie się na wzajem“ — tę myśl wyraził dopiero później uczniom swoim, którzy już pojęli jego naukę, — lecz odezwał się do nich na wzór Jana Chrzciciela: „czyńcie pokutę“, t. j. wejdźcie w siebie, zmieńcie pojęcia życiowe, zmieńcie myśli wasze, bo zgubę sobie niesiecie. — Chrystus nauczał: „Cel życia naszego nie powinien li tylko polegać na szukaniu dobra własnego lub ograniczonej liczby osób, ponieważ to dobro, które trzebaby zdobywać ze szkodą innych ludzi, rodzin, narodów, (szukających to samo temi sami środkami), niechybnie wiedzie do upadku. Życie winno być pełnieniem woli tego, który nas do życia powołał, — który żąda od was, byście nie swoim, lecz jego celom służyli, a cele te polegają na zgodzie i miłości wszelkiego stworzenia, — na założeniu państwa niebieskiego, gdzie miecz na lemiesz, włócznie na sierpy przerobione będą, — gdzie, według słów proroka, lew z jagnięciem obok siebie zgodnie leżeć będą. Zmieńcie wasze pojmowanie życia, bo zginiecie wszyscy“. Tak Chrystus nauczał. Lecz ludzie nie słuchali Chrystusa, nie zmienili w onczas swych pojęć o życiu. — Właśnie to fałszywe pojmowanie życia, nie porzucone, mimo komplikacyi form życiowych i rozwoju myśli ludzkiej jest przyczyną, że ludzie miłości nie czynią choć uważają ją za rzecz zbawienną, za prawo Boże, za prawo życiowe. Bo jakież może człowiek, mający li tylko dobro osobiste, dobro rodziny lub narodu na celu, to dobro, które zdobywa dopiero po zaciętej walce z drugim, również spółubiegającym się o nie człowiekiem, pokochać szczerze tych, którzy mu stoją zawsze na zawadzie, których zgubić musi, by dojść do celu?

Aby nastąpić mogła przemiana uczuć i czynów, musi nastąpić przemiana myśli, aby zaś myśli przemienić się mogły, musi człowiek zastanowić się i wytężyć uwagę swoją ku temu, co pojąć powinien. Ludzie, biegnący ku przepaści wśród krzyku i warczenia kół — powinni przedewszystkiem przystanąć, aby dosłyszeć rady zbawienne tych, którzy ocalić ich pragną. Bo jakżeż może człowiek zmienić swe myśli i pojęcia o życiu, jeżeli właśnie na podstawie tego fałszywego pojęcia o życiu (w dodatku zachęcany do tego przez fałszywych proroków) — bezustannie pracy się oddaje? Społeczeństwo świata chrześciańskiego znajduje się w położeniu ludzi, którzy męczą się popychaniem lekkiego ciężaru, a to tylko z tego powodu, że w pośpiechu, nie mogąc porozumieć się wzajemnie, każdy z nich popyeha ów ciężar w przeciwnym kierunku. Ludzie dawnych czasów, nieświadomi nędzy życia pogańskiego, nieświadomi dobrodziejstw, jakie wypływają z miłości, — mogli, prowadząc krwawe wojny, wymierzając kary śmierci i trudniąc się niewolą, bronić się różnemi argumentami, które ich pchały do podobnych czynów, — lecz my w ten sposób bronić się nie możemy. Ludzie dzisiejsi mogą wieść życie na sposób pogański, lecz nie mogą

stawę wynalazcy wynalezionych wynalazków. Dość, że występuje tu jako propagator wyprowadzenia kobiet z niewoli małżeńskiej.

Herminia Bartau i Alan Merrick pokochują się. Widocznie takie wypadki chodzić będą nawet po jutrzejszych.

„Zatem, moja droga — pyta młody i zacny adwokat — kiedyż weźmiemy ślub?“

Na te nieoczekiwane słowa (mówi autor) z ust takiego mężczyzny, rumieniec wstydu i zgrozy oblał lica Herminii.

„Przenigdy! — zawołała stanowczo, odsuwając się od niego. O! cóż myślisz sobie przy tem słowie?! Nie wyznawaj mi, że po mych usiłowaniach wpojenia w ciebie mych poglądów i ideałów, mogłeś na chwilę przypuszczać, że zgodzę się, aby wziąść z tobą — *ślub!*“

Młody człowiek spoglądał na nią z wielkiem zdziwieniem — mówi pan Grant Allen.

Zaiste czytelnik z równie wielkiem zdziwieniem spogląda na córkę pastora, w pierwszej chwili nie mogąc nawet opanować wielkiego śmiechu.

Czy widział już kto bowiem z państwa pannę, która na takie grzeczne zapytanie piecze raka z wstydu i zgrozy? Naturalnie nie ma tu autor na myśli anachronicznego rumieńca, jaki skrasiłby oblicze sielankowej Dafne — w księżycowej powieści, dla niższych pensyonatów panien przeznaczonej. Przypuszczam, że istnieją w Anglii niewiasty, które tak zagadnięte, odpowiedziałyby: Poco robić sobie niepotrzebne koszta? Ślub, to głupstwo! Lepiej spraw mi brylantowy garnitur! Przypuszczam, że wszystkie rumieniłyby się pod śniegami pudru — z radości. Nawet powieściopisarki, piszące się na modłę pana G. A., gdyby im zaproponować ślub — po polsku, nie tylko zrozumiałyby, ale pięknie podziękowały, zgadzając, albo nie zgadzając, ale zawsze pełne radości. Atoli nie mogę wyobrazić sobie, jak wygląda istota, która uważa pytanie takieza obelgę. Na domiar autor, który wejrzał głęboko w teorye dziedziczności, wywodzi rodowód Herminii od pastora, który niewątpliwie wędrował przykładnie do ołtarza, równie jak jego protoplaści.

Jednakże autor nie maluje nam kobiety jaką jest, będzie lub być może, lecz jakąby widzieć pragnął. Interesująca bohaterka przeto wychodzi z pod jego pióra zbyt nieziemską, zbyt do dogmatu naciągniętą.

„Małżeństwo — mówi Herminia — jest zatwierdzeniem hegemonii mężczyzny nad kobietą, przykuwając ją do niego na całe życie, ignorując jej indywidualność. Zmusza ją zaręczać za to, czego żadne ludzkie serce zagwarantować nie może. Można bowiem ręczyć kontraktowo, że się czegoś nie zrobi, lub coś zrobi, lecz zobowiązywać się, że się będzie żywiło jakie uczucia lub nie — cóż za przejrzyste absurdum! Jeżeli wogóle kocham, muszę kochać na podstawie zupełnej wolności!“

Alan zgadza się z nią w teoryi, ale nie rozumie, jak da się ona zastosować w praktyce. Na przeprowadzenie tej teoryi zdobyła się Herminia.

Pierwsze i ostatnie zdanie jej credo nastręcza świetną sposobność do kruszenia kopii z autorem. Mianowicie zasadnicza kwestya zupełnej wolności, na której opiera się teorya Herminii, jest tak zawikłaną i sprzeczną, że — w tem stuleciu poruszać jej nie warto.

Ażeby przeto nie podledz indywidualności Alana, Herminia wzbrania się zamieszkać z nim pod jednym dachem, co, uwzględniwszy nawet zupełnie jej pogląd, zda się przejrzystem absurdum. Naprzód indywidualność Herminii jest nieskończenie silniejszą i raczej Alan mógł obawiać się pantofla, który go też oczwiście nie minął. Zresztą tam, gdzie jest miłość, nieuchronnem jest starcie indywidualności. Wspólne pożycie byłoby prędzej spowodowało kompromis i ocaliło ich od innych mniej zaszczytnych kompromisów z światem. Herminia stawia bowiem siebie i męża w fałszywem położeniu, jak wykazuje się w czasie ich podróży do Perugii, gdzie zmuszeni są uciekać się do kłamstw i wybiegów.

Autor myślący zwykle w abstrakcyi, zapomina, że jest niepodobieństwem, aby dwie w jakimbądź do siebie stojące stosunku osoby nie uroniły z biegiem czasu ani źdźbła z swego „ja“. Stosunek miłosny, z którego obie indywidualności wychodzą nietknięte, jest li tylko zwierzęcym.

Punkt ten pozornie podrzędny nabiera w świetle tej teoryi ogromnej wagi, tak ogromnej, że nie da się rozwinąć pokrótce.

Najciekawszem zagadnięciem jest, jakie fazy przechodzi ich indywidualność w życiu późniejszem i jak ukształtowuje ich pożycie. Autor wszakże zapuszcza na to zasłonę i każe umrzeć Alanowi krótko przed przyjściem na świat córki.

Herminia powraca do Londynu, „fabrykuje“ artykuły do pism, oddając się wychowaniu dziecka, w którem spodziewa się ujrzeć „istotę przeznaczoną do odrodzenia ludzkości“. Dziwnem się zdaje, że jest ona tak silnie o tem przeświadczoną, że w ciągu wielu lat ani na chwilę nie przychodzi jej na myśl, że może być inaczej. Dziwniejszem jeszcze, że ta silna, wzniosła i szlachetna Herminia, dumna, że nie poniżyła się do kontraktu ślubnego, nie wtajemnicza w swe teorye tej przyszłej odrodzicielki ludzkości. Lecz pozbawiłby nas autor wielce dramatycznej sceny, w której zakochana córka ciska w twarz matki, że nielegalizując ślubem jej urodzenia, zatamowała jej drogę do zamążpójścia. Ostatecznie okoliczność ta nie staje na przeszkodzie związkowi, bo narzeczony zamyka na to oczy, lecz Dolly, czując się istotą pohańbioną, wzbrania się przyjąć jego rękę. Pseudo — szlachetność ta na koszt matki, unieszczęśliwa Herminię do tego stopnia, że zrozpaczona odbiera sobie życie.

Jako obyczajowe studyum, ujawniające śmiały pogląd na najdonioślejszą kwestyą organizacyi społecznej, powieść nie zdaje się opartą na nauce i prowadzi do wręcz przeciwnej konkluzyi. Ażeby wypróbować racyonalność małżeństw, opartych tylko na miłości i wykonać ich wyższość ponad związkami kontraktowemi, należało w pierwszym rzędzie mieć na uwadze, że wolne związki mają być zastósowane do wszystkich, a nie wyłącznie do jednostek wyższych, wyjątkowo żyjących duszą. Można było zatem oczekiwać, że autor odmaluje nam przeciętne i zupełnie normalne istoty. Niemniej należało wykazać, że wolne związki pozostaną jedynie godną formą małżeńską nawet wówczas, gdy nienormalne, lub zzwierzęcone osobniki będą istniały bez poszkodowania siebie, wyłamując się z pod tego prawa.

Z drugiej strony p. G. A. postępuje jednostronnie, bo atakuje instytucyą małżeńską na podstawie licznych wypadków, które wyrobiły przekonanie, że małżeństwo nie daje szczęścia, ignorując zupełnie całą seryą motywów, które instytucyę tą sankcyonowały, a dziś dostarczają broni wrogom jego teoryi. Masy ludności bowiem odczuwają instynktownie potrzebę ślubów formalnych jakiejbądź natury, nietylko dla tego, że opierają się na tradycyi, lecz także z pobudek rozumowych i poniekąd etycznych. Nie zdając sobie sprawy dla czego małżeńskie kontrakty istnieją, autor czyni ujmę swemu pamfletowi.

Cóż bowiem udowodnił? Że dwoje wyższych ludzi może żyć bez formalnego ślubu bardzo szczęśliwie — przez siedem miesięcy. Tu eksperyment kończy się. Cóż byłoby się stało, gdyby jedna z dwojga osób chciała zerwać związek, znudziwszy się lub zająwszy kim innym? Na to nie ma odpowiedzi.

Atoli autor, wyświetlając stosunek matki

---

tego już usprawiedliwiać. Niech tylko ludzie dzisiejsi, przystaną na chwilę w wyścigu pracy, aby zastanowić się mogli nad swem położeniem, a przekonają się, że ich czyny stoją w zupełnej, o pomstę do nieba wołającej sprzeczności z ich sumieniem, rozumem i sercem. Zapytajmy się tylko z osobna każdego współczesnego człowieka, podług jakich kieruje się zasad lub jakie zasady uznaje, to każdy z nich, bez wyjątku, odpowie, że rządzi się, jeśli nie miłością, to w każdym razie sprawiedliwością, — że osobiście uznaje naukę Chrystusa, lub oparte na niej świeckie prawo moralności, — lecz, że poddaje się obecnym warunkom życiowym dla tego, że one potrzebne są dla innych ludzi. — Zapytajmy się o to samo, jednego, drugiego, trzeciego, a zawsze jednakowo brzmiącą otrzymamy odpowiedź. Sądząc ludzi według ich teoryi, to większość ich żyłaby po chrześciańsku, — lecz przypatrzmy się tylko, jak żyją w rzeczywistości, a przekonamy się, że naśladują życie zwierząt dzikich.

Większość zatem ludzi wiedzie życie pogańskie, nie dla tego, że je tak wieść pragnie, lecz że urządzenie życia być może potrzebne niegdyś dla ludzi o całkiem innych ideach, pozostało to samo.

Ludzie powinni koniecznie, chociażby tylko na czas jakiś, zaprzestać czynić to, co zaleca Zola i jego rzekomi przeciwnicy, którzy pod pozorem powolnego i ciągłego postępu pragną utrzymać dzisiejszy porządek świata, winni zaprzestać ogłuszać się fałszywemi wyznaniami wiary, a przedewszystkiem tą ustawiczną pracą nad tworzeniem dzieł różnych, którym sumienie ich odmawia uznania, a przekonaliby się łatwo, że cel ich życia nie powinien polegać na złudnem dążeniu do szczęścia jednostki, rodziny, narodu lub państwa, lecz że jedynym, rozumnym celem jest ten, który już przed 1800 laty objawiła nauka Chrystusowa. Uczta już gotowa, wszyscy na nią zaproszeni jesteśmy; ale cóż, nikt nie ma czasu. Jeden kupuje dobra, drugi się żeni, trzeci buduje kolej żelazną, czwarty zakłada fabryki, piąty zajęty jest misyą w Indyach, Chinach lub Japonii, szósty kupuje woły, inni znowu prawią mowy, kazania, przeprowadzają lub odrzucają Bill Homerule, lub jakieś prawo wojskowe, ten składa egzamina, tamten pisze dzieła uczone, słowem wszyscy pracują, a nikt nie ma czasu przyjść do opamiętania, zastanowić się nad sobą i nad światem i zapytać się: Co ja czynię? Po co to czynię? Czyżby ta siła, która zrodziła mnie z przymiotami miłości i rozumu, obdarzyła mnie niemi na to tylko, żebym oszukiwał, żebym w szalonej pogoni za urojonem szczęściem rozporządzał według własnego widzimisię życiem własnem i życiem drugich i przyszedł w końcu do przekonania, że im więcej się wysilam w tym kierunku, tem gorzej dzieje się mnie, mojej rodzinie, memu narodowi, że im mniej czynię zadość postulatom miłości i rozumu, które mi są wrodzone, tem więcej oddalam się od prawdziwego szczęścia. Toż niemożliwem jest, aby te właściwości duszy mojej tylko dla tego spoczywały we mnie, aby ciążyć jak okowy więzienne, i przeszkadzać w osiągnięciu celu! Przeto nic prostszego nad to, że ta siła, która mnie stworzyła, nie na to dała mi rozum i miłość, bym osięgał cele przypadkowe, chwilowe, sprzeczne z zamiarami drugiej istoty — co zresztą siła uczynić nie mogła, ponieważ stworzyła mnie, zanim istniały moje zamiary, lecz na to, żeby własny swój cel osięgnąć za pomocą zasadniczych właściwości duszy mojej. Czy nie byłoby zatem lepiej dla mnie, żebym, zamiast trwać uporczywie w pełnieniu własnej woli, woli innych ludzi, przeciwników tych najwznioślejszych przymiotów, wtrącających mnie w nędzę, wziął sobie za cel życia pełnienie zawsze i wszędzie woli tego, który mnie stworzył i nie dając się zdurzyć żadnym kombinacyom, li tylko szedł za wskazówkami rozumu i miłości — tych przymiotów, któremi Bóg obdarzył serce moje na to tylko, żeby pełnić Jego wolę. Takie jest chrześciańskie pojęcie o życiu. Żeby urzeczywistnić Królestwo Boże, koniecznem jest, aby wszyscy ludzie, bez względu na osobę, rodzinę naród pokochali się wzajemnie; chcąc się pokochać wzajemnie, muszą ludzie zmienić swe życie, a żeby życie ich zmienić się mogło, muszą przyjść do opamiętania; żeby zaś przyjść do opamiętania, muszą choćby na krótki czas zaprzestać tej gorączkowej pracy, zaprzestać tej zabiegliwości życiowej, którą Jndowie nazywają „*Ssanssare*“, i która jest największą przeszkodą do zrozumienia celu istnienia. Nędzota życia pogańskiego i rozwój chrześciańskiej świadomości rozwinęły się w naszych czasach do tego stopnia, że ludzie potrzebują tylko zaprzestać tej ciągłej krzątaniny, a niebawem przekonają się o nie-

i córki, porusze konsekwencya wolnego związku, stawiając nas w obliczu innej, ze względów praktycznych najdonioślejszej kwestyi. Tak długo bowiem jak chodzi tylko o parę kochanków rzecz jest prostą, z praktycznego punktu widzenia. Jako ludzie dorośli muszą ponosić następstwa swego kroku. Z chwilą wszakże, gdy ze związku wynika potomstwo, a rodzice obstają przy wyłamywaniu się z pod obecnych praw pisanych i niepisanych, dysponują za istotę trzecią. Wprawdzie charakter Dolly jest skrajny, naciągnięty dla wywołania efektu dramatycznego i w życiu podobne starcie się matki z córką i zmierzenie dwojga przeciwnych teoryi wyglądałoby zupełnie inaczej, lecz można przyjąć za normę, że nielegalizując urodzenia dziecka, rodzice narażają je na stratę tej lub owej natury. Nasuwa się tu zatem wielce ciekawe pytanie, co dla rodziców powinno być droższem, ideał czy dziecko?

Przenosząc teoryą nad dziecko rodzice postępują samolubnie, bo teorya może być dla nich świętą, lecz dziecko powinno być świętszem. Goethe mówi:

Grau ist jede Theorie.
Grün ist nur des Lebens Baum.

Nie żyjemy z teoryami lecz z ludźmi, a najświetniejsza teorya nie warta świetnego człowieka. Wprawdzie zaprzeć się siebie jest dla duszy podniosłej bolesnem poświęceniem, lecz Herminia milująca gorąco swą teoryą, równie serdecznie kocha córkę. Jeżeli zaś formalności ślubne są w jej przekonaniu absurdem, dlaczegoż nie zrobić tego absurdum dla dobra ukochanego dziecka. Zresztą w łańcuchu czynów ludzkich takie mnóstwo znajdzie się absurdów, że zaiste o jedno mniej lub więcej nie chodzi i lepiej mniejsze absurdum zamienić na większe. Taką odpowiedź dałby na to pytanie objektywny człowiek, dla którego wobec realnego życia teorya, abstrakcya jest czemś niepochwytnem. Tak rozumowałby każdy subjektywny czytelnik, dla którego ideał Herminii jest niesympatycznym i niezrozumiałym. Z chwilą wszakże, gdy uogólniając kwestyą tę jeszcze więcej, obcy ideał zastąpi czytelnik własnym n. p. swem credo politycznem, wówczas bodaj rozstrzygając pomiędzy ideałem a dzieckiem, da pierwszeństwo pierwszemu. Z tego zaś wynika, że Herminia pozostając wierną sobie, postąpiła dobrze. Jednakże nie uzasadnia to bynajmniej jeszcze racyonalności wolnego związku. Niefortunna fabuła nasuwa tyle wątpliwości, że zamiast przekonać kogo do wolnego związku, autor ostrzega przed nim.

Mimo to wszystko, powieść zasługuje na powszechną uwagę, chociażby dla tego, że wieje z niej rzadki u powieściopisarzy zapał i gorąca miłość ideału. Długie rozprawy przeto nie nużą lecz wynoszą czytelnika ponad prochy ziemskie, świetnego dostarczając pokarmu umysłowego. Czem wyżej kto sięga, tem więcej wystawia się na pociski, lecz objektywna i sprawiedliwa krytyka, która z pominięciem swych własnych ideałów winna być gotową dać się przekonać, chociaż argumentacyą pana Grant Allen uzna za niewystarczającą a nawet fałszywą, odróżni dzieło sztuki od literackiej tandety pana Hall Caine.

Szczerości nikt nie odmówi autorowi „Kobiety, która się na to zdobyła.“ Otóż bowiem pisarz, który nigdy nie schlebiał swym ziomkom, w takich słowach opisuje swego bohatera:

„Alan był *tylko* anglikiem, posiadającym znaną angielską cnotę — umiarkowanie, popychające go do kompromisu, dzięki któremu Anglia jest Anglią t. j. najobrzedniejszym, (chabbiest), najpospolitszym (sorvidest) i najgorzej zorganizowanym z narodów.“

Być może, ale umiarkowanie i wolność zawierania kompromisów ma także swą dobrą stronę, ujawniającą się chociażby w tem, że umożebnia anglikom patrzeć na teorye i gorzkie wyznania pana Grant Allen spokojnem okiem i że nikt dotąd nie zdradził chęci ukamienowania go za nie.

Nobody.

BADANIA NAUKOWE.

O ruchu etycznym.*)

Szkic historyczno-filozoficzny.

„Jeśli się Wam nie podoba, com powiedział, niechajże Wam się podoba to, czegom nie powiedział.“
Paweł Lauterbach „Aegineten“.

W zamierzchłej jeszcze starożytności, kiedy na szczytach Olimpu płynęły dni szczęścia i wesela, kiedy bogowie, niezbyt dużo rządami świata się zajmując, tem więcej za to poświęcali czasu szumnym, egoistycznym biesiadom, kiedy jęki dolatujące z ziemi przebrzmiewały bezskutecznie wśród szału, czerpanego z pełnych kielichów nektaru, na ziemi odzywały się gdzie niegdzie głosy myślicieli wątpiących, wypowiadających posłuszeństwo owym wiecznie młodym, boskim miłośnikom używania i rozkoszy. Sofiści ze stanowiska teoryi poznania ograniczali horyzont wiedzy ludzkiej, niezdolnej — według ich twierdzenia — do zbadania tajemnic, głoszonych przez kapłanów. Epikur znowu bojaźń przed gniewem bogów uważał za okoliczność mącącą spokój duchowy i równowagę umysłową ludzi. Lecz sofiści nie pragnęli zastąpić wiary moralnością, bowiem i na nią przez pryzmat sceptycyzmu patrzyli, Epikur zaś na miejsce wierzeń ludowych stawiał pojęcia o bóstwach, które w jego mniemaniu, ideał szczęścia urzeczywistnić miały. Wprawdzie cynicy i stoicy uczyli, że cnota jest jedynem dobrem, lecz szkoła cyników upatrywała w cnocie środek przypodobania się, bóstwu, a panteizm Heraklita był podstawą filozofii stoickiej.

W równie zamierzchłej epoce przeczył Buddha świętym księgom Vedy, wystąpił przeciw naukom Brahmy, oraz przepisom dogmatycznym i hierarchicznym, zastępując je wyższemi i szlachetniejszemi zasadami etycznemi. Jednak i Buddha przyjął w odmiennej formie dużo z tego, co początkowo zwalczał i negował. Etyczny porządek wszechświata oparł na wierze w opatrzność, której wyroki z pokorą przyjmować należy, pocieszając się nadzieją nirwany.

Lecz owych walk ducha ludzkiego, pragnącego prawdy i światłości nie możemy jeszcze określić mianem ruchu etycznego lub moralistycznego we właściwem tego słowa znaczeniu, bowiem ruch ten zasadza się na dążeniu do zastąpienia wierzeń moralnością.

Dopiero uwolniona z więzów średniowiecznego scholastycyzmu myśl filozoficzna, która spowodowała odrodzenie nauk, przygotowała także pośrednio grunt dla zajmującego nas tu ruchu. Już Spinoza uczył, że moralnych przymiotów istoty najwyższej udowodnić nie można, nauki tej jednak krytycznie nie uzasadnił, wskutek czego nie miała ona widocznego i trwałego wpływu na pobudki działalności ludzkiej. Inni filozofowie i myśliciele, jak Loeke, Leibnitz, Lessing itd. zgadzali się w poglądzie, że pojęcia bóstwa jako etycznie idealnej istototy z przyczyn moralnych negować nie należy, choć z drugiej strony właśnie naukami swemi wiarę w pojęcie to osłabiali. Stanowisko tych myślicieli słusznie nazywa Edward Hartmann moralizmem religijnym. Od moralizmu tego do moralizmu w naszem rozumieniu był już tylko krok jeden. Uczynił go Kant, odkrywając jasno dualizm między rozumem czystym, teoretycznym a praktycznym.

*) Przy przedstawieniu historycznego rozwoju tego ruchu w poszczególnych państwach i narodach, korzystamy przedewszystkiem z dzieła dr. Marcina Keibla p. t. „Uprawnienie wierzeń wobec nowoczesnego moralizmu“ (nakładem księgarni C. E. M. Pfeffera w Lipsku).

---

dorzeczności działalności swojej i pojęcie chrześciańskie z taką koniecznością rozwinie się w ich umysłach, jak koniecznie wody stojące ściąć się muszą pod działaniem mrozu.

Niech tylko ludzie przyswoją sobie to pojęcie o życiu, a miłość dla bliźnich, dla wszystkich ludzi, dla wszystkiego, co żyje, — miłość dziś jeszcze ukryta uwidoczni się w całej ich działalności, i stanie się podstawą wszystkich ich czynów, tak jak dziś w ich pogańskiem pojęciu o życiu miłość ujawnia się wyłącznie względem siebie, rodziny, narodu. Niech tylko rozbudzi się w ludziach miłość chrześciańska, a niebawem, bez najmniejszego wysiłku, zetrą się zużyte formy życiowe i nastaną nowe formy, których brak obecnie nie dozwala osiągnąć ludziom tego, czego domaga się od nich rozum i serce. Gdyby ludzie setną część swej energii, którą zużywają obecnie ku osiągnięciu różnych korzyści materyalnych, co nieuprawnione niczem przyćmiewają właśnie ich lepsze zrozumienie życia, skierowali ku wyjaśnieniu pojęć swoich i pełnieniu tego, czego ono od nich żąda, to Królestwo Boże nakazane nam przez Chrystusa, byłoby zbudowanem łatwiej i prędzej niż myślimy, a ludzie znaleźliby zbawienie, które im jest obiecanem.

Chciejcie tylko posiąść prawdę i Królestwo Boże — a reszta daną wam będzie!

Helena Ceysinger.

DO CELU.

Z podań ludowych.

U podnóża wysokich, podniebnych gór leżała sobie wioska cicha, jasna od promieni słońca, które, jakby upodobawszy ją szczególnie, od wschodu do zachodu złociło ją promieniami swemi. I choć tam czasem chmury błękit zaćmiły, to tylko na chwilę, to jakby na żart tylko, a potem znowu wracała pogoda i jasność i cisza. Dobrze w niej było ludziom. Na szczyty gór wdzierać się, po skałach piąć, brzegami przepaści błądzić nie potrzebowali, bo dokoła nich pola leżały żyzne i łąki pełne traw i ziela.

A zresztą, w te góry, co ścianą posępną, wyniosłą stały przed nimi, zapuszczać się, strach było wielki. Bo tam w wąwozach dziwy się przechadzały skrzydlate, straszydła siedziały na skałach, z jaskiń wyzierały ogniste ślepia smoków i zgubiony na zawsze był ten, komu przyszła ochota zawędrować między jary przepaściste, między zaklęte potoki, pędzące kaskadami ze skały na skałę, między wierzchołki śnieżne, ponure i dumne jak starcy z białemi brodami. Ha, te wierzchołki zwłaszcza! Biada śmiałkowi, co odważył się deptać śnieżne ich korony! Brały go wtedy panny białe między siebie, otaczały dokoła i nęciły mglistym muszlinem swych szat i wiodły daleko, daleko aż nad brzeg przepaści. A kiedy wpadł nieszczęsny i głowę o dno jej roztrzaskał, zawisały nad brzegiem i chwiejne, rozwiane, tajemnicze, patrzały w jego grób.

Na najwyższym szczycie tych gór, na szczycie, którego nigdy oko ludzkie nie widziało, bo był wiecznie chmurami czarnemi spowity, mieszkał czarnoksiężniki, czyli, jak drudzy mówili, duch gór. W chmurach miał zamek swój zaczarowany; czasem w dzień bardzo jasny i pogodny widzieć można było jego wieżyce. Bywali też ludzie, którzy o północy, kiedy już miesiąc schował się za góry, widywali tam, u samego szczytu postać potężną, olbrzymią, nieludzką. Bali się ludzie w stronę tę spoglądać. Kto czarnoksiężnika raz ujrzał, nie żył długo.

Aż jednego dnia, po zachodzie słońca, czerwoność się wielka rozlała po niebie i z chmur czarnych, wiszących u szczytu góry wyszedł czarnoksiężnik i stał ludziom wszystkim na oczach i widziała go wioska cała, jak rękę, niby z groźbą, ku nim wyciągał.

A w tem zamgliło się niebo, postać złowróżbną zakryły chmury i zwolna spuszczać się zaczęły ku dołowi, aż zeszły w niziny i nad

udowadniając błędność dotychczasowych argumentów o istnieniu bóstwa i wykazując niemożliwość pozytywnego na to dowodu. Konsekwencye krytyki czystego rozumu łatwo przewidzieć się dały, a coraz bardziej postępujący rozwój nauk przyczynił się do nader szybkiego rozkrzewienia się tych konsekwencyi. Kosmologiczna teorya Kanta *) i Laplace'a **), geologiczne teorye Lyell'a †), w końcu teorye Darwina ††) o doborze naturalnym, przemianie gatunków i pochodzeniu człowieka i ich zastosowanie do historycznego rozwoju społeczności ludzkiej †††) zniszczyły ostatecznie dotychczasowy światopogląd deistyczny. W miarę też postępu tych nauk, widzimy budzący się właściwy ruch moralistyczny, chwilowo przez burzliwe stosunki polityczne w pierwszej połowie naszego stulecia przyciszony, a rozrastający się nader szybko i bujnie, stosownie do bezprzykładnej ewolucyi wiedzy w ostatnich dziesiątkach lat.

Od stu lat tedy dopiero mniej więcej ruch ten swój początek bierze. Przewrot umysłowy, który przygotował wielką rewolucyą francuzką, unosił się już nad kołyską myśli, wypowiedzianej przez Helwecyusza w roku 1773 w dziele o człowieku i wychowaniu jego: *„La morale fondée sur des principes vrais, est la seule vraie religion.“* „Gdzież jest — woła on — prawdziwa tolerancya? — tam, gdzie nie ma dogmatu, albo tam, gdzie, jak u filozofów, jest zdrowa i prawdziwa moralność. Ta ostatnia będzie kiedyś religią świata.“

Z pośredniej może inicyatywy Helwecyusza Francya staje się kolebką właściwego ruchu etycznego. *Stany* jeneralne w r. 1789 postanawiają zniesienie prerogatyw *stanu* duchownego i zamknięcie kościołów; w dalszym ciągu kalendarz republikański, zaczynający się z dniem 21 września 1792, jako z dniem otwarcia konwentu narodowego zastępuje kalendarz chrześcijanski; w miejsce imion i świąt chrześcijańskich wchodzą w użycie imiona pogańskie i obchody świąt cywilnych. Za staraniem Anacharsisa Cloots'a zaprowadzonym zostaje kult bogini rozumu, której pierwsze święto naród francuzki obchodzi w dniu 20 Brumaire (10 listopada) 1793, w następnych zaś miesiącach uroczystość ta w całej rzeczypospolitej bywa powtarzaną. Szał ten trwał jednak dość krótko. Na posiedzeniu z 7 maja 1794 uchwala konwent narodowy wniosek Robespierre'a następującej osnowy:

1) Naród francuzki uznaje istnienie najwyższej istoty i nieśmiertelność duszy.

2) Stwierdza, że wypełnianie obowiązków ludzkich jest kultem godnym najwyższej istoty.

3) Żąda zaprowadzenia uroczystości dla zwrócenia myśli ludzkiej ku bóstwu.

W dniu 8 lipca 1794 odprawia Robespierre, jako najwyższy kapłan, święto najwyższej istoty, przy którem pali z kartonu wyrobione karykatury ateizmu, nienawiści i egoizmu, podczas gdy z ognia wznoszą się sporządzone z materyi niezapalnej wizerunki Najwyższej Istoty, Mądrości i Sprawiedliwości. Ten przyjazny religii kierunek przetrwał śmierć Robespierre'a; w r. 1795 dozwolono nawet ponownego wykonywania dawnych obrządków, a lud masami napływał do starych świątyń. Teofilantropizm Robespierre'a trwał jeszcze tylko przez czas krótki; za czasów dyrektoryatu zwolennicy jego rozporządzają jeszcze dziesięciu kościołami w Paryżu, lecz takowe już w roku 1802 przez konsulów zostają im odebrane.

Dopiero po upływie lat sześćdziesięciu organizuje się znowu moralizm francuzki. Około roku 1865 spotykamy czasopisma, jak w Paryżu: „La Rive gauche“, „Le Candide“, „Le Démocrate“, „La Libre Pensée“, „La Pensée Nouvelle“, „L'Athee“, redagowane przez Eudes'a, Regnard'a, Condereau'a, Asseline'a i Henryka Place'a. W Marsylii redaguje Royannez „L'ami du poeuple“, w Lyonie Jules Frantz „Le Refusé“, a Denis Brack „'Excommunié.“ W miastach tych powstają też odnośne stowarzyszenia, szczególnie wśród ludności *najmickiej*. Lecz i te zarodki mało wydają plonu, częścią z powodu wrogiego stanowiska, jakie wobec nich zajmują rządy Napoleona III częścią z powodu zamieszek wynikłych z wojny niemiecko-francuzkiej. W mniejszych tylko miastach, jak Lille, Havre itd. usiłowania owe jako tako utrzymać się dają. Po dalszym dopiero dziesiątku lat Leo Taxil zakłada czasopismo „L'Anticlerical“, przeciw katolicyzmowi zwrócone, a Lepelletier i Meunier w czasopismach „La Marseillaise“ i „Le Rappel“ propagują idee „wiary cywilnej“ i „wolnej myśli“. W roku 1880 powstają znowu stowarzyszenia w dzielnicach robotniczych Paryża, Fours, Nimes, Roubaix, Rheims itd., a organem ich jest paryska „La Libre Pensée“. Obecnie związek moralistów francuzkich obejmuje około 145 towarzystw filialnych, z których 13 znajduje się w Paryżu. Tendencye ich poznać można z rozmaitych przemówień i rozpraw przywódców. Tak Lecocquière na kongresie w Brukseli w r. 1880 jako delegat z Paryża mówi: „Pragniemy nie tylko zniszczenia dogmatów i zabobonu, same wierzenia zniszczyć pragniemy“. Tamże oświadcza Boichot, delegat czwartego okręgu Paryża: „Absolut i cuda znikają; zastępuje je nauka i rozum. Lecz nie wystarcza, by człowiek miał wiedzę, musi też posiadać zmysł moralny. Kształcenie obyczajów i charakteru człowieka, wyszlachetnianie jego uczuć i wzmacnianie jego myślenia, jest tak samo obowiązkiem, jak rozwijanie jego rozumu“. A w dziewięć lat później kongres paryzki przyjmuje wniosek Schacre'a, delegata stowarzyszenia „Voltaire“ w Tours, brzmiący *): „Wierzenia są niemoralne, ponieważ zmuszają nas do wyrzeczenia się rozumu, do ślepego posłuszeństwa i samozaparcia się, uczciwe zaś postępowanie opierają na nadziei wynagrodzenia i obawie przed karą. Należy tedy uczyć moralności wolnej od wyobrażeń nadzmysłowych“. Organami związku są: wydawany przez radę centralną: „Bulletin mensuel“, „L'Autonomie“, redagowana przez A. de Okecki i w końcu „La Vérité Philosophique“, na której czele stoi C. Cilwa. Także część wolnomularzy francuzkich liczy się do zwolenników moralizmu, do którego z wybitnych myślicieli i polityków francuzkich należeli również F. M. Bérard, Gambetta, Paweł Beut itd., z nowszych zaś — Vogué, Edward Rod, Pierre Lasserre i Paweł Desjardins. Ten ostatni w broszurze p. t.: „Le devoir présent“ powiada, że przyczyna choroby naszego wieku, a więc przyczyna ogólnego niezadowolenia i zwątpienia moralnego, tkwi w ogromnej pożądliwości wrażeń (sensations), któremi całe społeczeństwa wyłącznie prawie żyją. Człowiek dzisiejszy dąży jedynie do wysubtelnienia swoich zmysłów, do wykształcenia swego „ja“, tak dalece, aby zdolnem było odczuwać wszelkie zewnętrzne podniety. Wskutek tego człowiek współczesny staje się wprawdzie bardzo zajmującym, ale biernym przedmiotem, rodzajem harfy eolskiej, za lada podmuchem dźwięczącej. Odpowiedzialności za objawy odruchowe, wywoływane w nim przez przypadki zewnętrzne nie uznaje zgoła żadnej — *poczucie obowiązku zamarło w nim zupełnie.*

Broszura wspomniana osnutą jest na dwóch myślach przewodnich: pierwsza wypowiada wiarę w kapłaństwo intelektualne jednostek jak Epiktet, Marek Aureliusz, św. Paweł, św. Augustyn i św. Wincenty à Paulo, druga — przekonanie o uprawnieniu warstw umysłowo i materyalnie upośledzonych do wszystkich zdobyczy duchowych. Desjardins odrzuca ortodoksyjną stronę dotychczasowych wierzeń, przyjmując jedynie

*) Kant: Allgemeine Naturgeschichte und Theorie des Himmels, 1755.

**) Laplace: Exposition du systeme du Monde, 1796.

†) Lyall: Principles of geology, 1830,

††) Darwin: On the origin of species, 1859. The descent of man 1871.

†††) H. Spencer: The data of ethies, 1879; Principles of sociology, 1876 Bagehot; Les lois scientifiques du développement des nations, 1873. Albert Schafne: Bau und Leben des socialen Korpers. 1878.

*) Por. Bulletin du congrès de libres penseurs à Paris, 1889, par E. Pasquier.

---

wioską cichą, jasną, rozpostarły szarą zasłonę. Nastała noc ciężka, ponura, noc przeczuć i drzeń niewysłowionych. Potem przyszedł ranek, ale nie jasny, pogodny jak codzień. Na polach leżały mgły grube, słońce przez chmury świeciło jakimś strasznym, czerwonym blaskiem, co ani światła, ani radości nie dawał.

I ścisnęły się trwogą serca ludzi. Cóż to za dni dla nich nadejść miały? I dowiedzieli się niezadługo. To z tej, to z tamtej chaty wybiegała matka zapłakana, drżąca i powiadała, że dziecko jej umarło tej nocy, albo kona, albo zachorowało ciężko. Zaraza padła na wieś. A dziwna to była choroba, bo nie zabierała starców, tylko młodzież niedorosłą i dzieci. Umierali z niej młodzieńcy pełni sił, gasły dziewczęta kwitnące, dzieci w objęciach matek konały. Niewiasty stare szeptać zaczęły pomiędzy sobą, że to wielkiego czarnoksiężnika gniew padł na wieś, że to ztamtąd, z odwiecznie chmurnego szczytu, od pałacu jego idą na nią te mgły nieprzebite i ta klątwa straszna. Chmurno było wciąż, przez mgły gęste widać było słońce czerwone, przygasłe. W powietrzu cisza panowała złowroga. I tylko nocami, od czasu do czasu zrywały się burze straszliwe. Huczały jękiem przeciągłym pioruny, błyskawicową chmurą krwawiło się niebo, wicher szalał i wył w konarach drzew. Temi nocami strasznemi najwięcej dziatek marło po chatach, a nazajutrz rankiem mglistym, wilgotnym, ponurym, widać było na mokrej drodze wioskowej postrząsane wiatrem liście z drzew, przy chatach połamane krzaki róż, a na progach matki płaczące z trupami dziecięcemi w objęciach.

I zaczęli gadać starcy, że złego ducha gór ofiarą dobrowolną przebłagać trzeba, że musi jeden z młodych pójść tam, gdzie bielą się śniegi wieczyste, gdzie chmury wieńczą szczyt, tam wysoko, aż do pałacu czarnoksiężnika i oddać się jemu. Duch gór tak chce. I niewiadomo, z czyich ust słowa te wyszły po raz pierwszy, ale wnet szeptem powtarzać je zaczęła wioska cała i wszyscy czuli, że tak być musi. A starcy smutnie kiwali głowami: Kto pójdzie? Kto zwycięży pó drodze przeszkody, niebezpieczeństwa, pokusy, kto nie ulęknie się straszydeł i widm, kto pannom białym w przepaść zaciągnąć się nie da? I kto, kto strasznemu duchowi gór na męki wieczyste zaprzedać się zechce?

We wiosce było wciąż cicho i posępnie jak w grobie. Umierali młodzi, ale w góry zaklęte nie chciał iść żaden. Lepiej umrzeć — mówili.

Aż raz, młodzieniec pewien stanął na środku wioski i ogłosił, że udaje się na szczyt mglistej góry, do pałacu czarnoksiężnika. Zbiegli się doń ludzie z całej wsi, a on powiadał im, że miał sen, że widział czarnoksiężnika, który ku niemu, wyraźnie ku niemu ramię olbrzymie wyciągał, więc poznał, że jemu to przeznaczono przebłagać okrutnego ducha gór. Mówił to wszystko z twarzą wesołą, swobodną, jak ten, który nie lęka się śmierci, ani życia młodego na ofiarę żałuje. Bledli ludzie słuchając go i potrząsali głowami. Byli tacy, co odradzali mu, mówiąc: nie dojdziesz. Ale on uśmiechał się na to i tego samego dnia przed wieczorem wyruszył.

Trzy miłości zostawił za sobą: matkę starą, niewidomą, dziewczynę młodą i piękną i skrzypkę, ukochanie swoje najmilsze — i poszedł. Kiedy odchodził, płynęły łzy z pod przymkniętych na zawsze powiek starej matki, łamała ręce jasnowłosa dziewczyna, a skrzypka, hej! jemu się tylko śniło pewno, że mu skrzypka na pożegnanie zagrała sama piosenkę taką rzewną i smutną, a śliczną, że odejść nie miał siły, tylko stał i słuchał, Ale zerwał się w końcu, skrzypkę raz ostatni przycisnął do serca, potem odrzucił precz od siebie i poszedł. Noc się nad nim opuściła czarna, bez gwiazd i bez miesiąca. Po skałach tu i owdzie błyskały dziwne, tajemnicze płomyki. On szedł wciąż przed siebie, wciąż w górę, a groza i lęk szły z nim.

Nieraz widno zrobiło mu się w oczach. Przed nim na skale biały ogień płonął wysoki, a przy ogniu starzec-straszydło przesypywał chudemi rękami stosy złota i pokazywał je młodzieńcowi i kiwał nań i kusił, a w świetle płomienia złoto skrzyło się oślepiającym bla-

wspaniałe ich strony etyczne; nie pragnie sekty na wzór St. Simonistów, lecz raczej chce stowarzyszenia pomocy moralnej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA WIEDENSKA

Wiedeń, dnia 12. marca 1895.

(*Parlament.. — Pogłoski — Rada ministrów. — Misya kardynała Schoenborna. — „Die Zeit" i genealogia rodziny ministra Madeyskiego.*)

Między Scyllą a Charybdą znajduje się obecnie większość rządząca Austryą. Nigdy jeszcze nie zebrało się razem tyle co teraz zawikłanych spraw, których rozwiązanie musi nastąpić koniecznie, chociażby nawet do zmiany ministerstwa przyjść miało. Przedewszystkiem sprawa reformy wyborczej, jaką zajął się subkomitet szukający dla wszystkich partyi stosownego jej załatwienia, czeka na światło dzienne bez względu na Koło Polskie i jego dla niej odporne stanowisko. Korona, to jest sam Cesarz życzy sobie jej załatwienia i to jeszcze w tej sesyi parlamentarnej. Drugim ważnym punktem do usunięcia jest sprawa słoweńskiego gimnazyum w Cilli. Hrabia Hohenwart, przewódzca partyi słoweńskiej, skoalicyonowanej z Kołem Polskiem i niemiecką lewicą, zażądał tego gimnazyum, pod grozą wystąpienia z koalicyi, — sprzymierzona zaś lewica niemiecka, uważa takie gimnazyum za ustępstwo dla Słowian i niechce żadną miarą przychylić się do takich zachcianek. Naturalnie Koło Polskie, względnie minister Madeyski, pomimo że początkowo w budżet wstawił potrzebną sumę, dzisiaj cofa się pod presyą Niemców i ztąd nieporozumienie faktyczne. Do tych dwóch, przybył trzeci powód obawy o dotychczasowy rząd, t. j. załatwienie reformy podatkowej, którą znowu protegują Niemcy, a przeciw której stoi klub Hohenwarta z Polakami, broniąc rolnictwa przed przemysłem. Dość, że koalicya sama w sobie jątrzy się i szuka wyjścia z zaklętego labiryntu ustępstw wzajemnych i żądań coraz to nowych i większych. Wczoraj Cesarz zwołał radę ministrów, sam jej przewodnicząc. Wywołało to wiele zajęcia i wiele pogłosek się w mieście z tego powodu rozeszło. Mówiono o rezygnacyi ministra oświaty Madeyskiego, który oprócz gimnazyum w Cilli ma do zwalczania ciągłe zaczepki ze strony antysemitów w sprawie forytowania swego zięcia, młodego Dunajewskiego, oraz spowinowaconego z sobą swego wicesekretarza, Dra. Rosnera. Poseł Schneider (antysemita) bawił nawet w tych dniach w Krakowie, dla zebrania dowodów obciążających ministra, a zebrawszy takowe zamyśla wraz z posłem Luegerem uderzyć na jednem z posiedzeń w Madeyskiego. Pomagają mu w tym względzie „die Christlich-Socialen", którzy nie mogą Madeyskiemu darować wystąpienia przeciw księdzu Scheicherowi, Pogłoski o rezygnacyi Madeyskiego, Jaworskiego i prezydenta ministrów Windisch-Graetza, na razie nie mają podstawy. Owszem, stanowisko pierwszego wzmocniło się nawet w ostatnich dniach, a wyraz temu dało Koło Polskie na bankiecie, oświadczając, że z nim i jego czynnościami zupełnie się solidaryzuje. Na zakończenie bankietu minister Madeyski wypił „kochajmy się." W ten sposób ma być wszystko załatwione.

Wiadomo Wam, że antisemityzm i chrześcijański-socyalizm kolosalne w Austryi czyni postępy. Aby temu zapobiedz, starają się żydzi i sprzymierzeni z nimi liberalni wszystkiemi siłami i sposobami wywołać antiagitacyę ze strony Korony i Stolicy Apostolskiej. W tym też celu wysłano z Wiednia do Watykanu kardynała Schönborna (brat ministra sprawiedliwości), który miał u tronu Papieża wyjaśnić ruch antisemicki i wyprosić cofnięcie, względnie nie udzielanie dalszych błogosławieństw towarzystwom socyalno chrześciańskim. Podobno, jak zapewniają pisma, misya kardynała upadła i powraca bardzo niezadowolony do tych, którzy go wysłali. Antysemici i książe Lichtenstein tryumfują.

Wszystkie tu przytoczone sprawy podgryzają ustawicznie rządzącą większość czyli „koalicyę", a najgłówniejszą jej chorobą jest; Reforma wyborcza. „Koalicya" musi wynaleźć dla niej odpowiedni „*modus virendi*", ponieważ rząd posiada w ręku sposób na zmuszenie jej do tego, mianowicie może rozwiązać Parlament i rozpisać nowe wybory dla pozyskania sobie większości; o czem z resztą była mowa na radzie ministrów.

Doskonale redagowane, ale nadzwyczaj zjadliwe i bezwzględne tutejsze pismo tygodniowe „Die Zeit" podaje w ostatnim numerze artykuł dotyczący całej spokrewnionej familii ministrów. Były minister Dunajewski ożenił syna z córką ministra Madeyskiego. Zięć więc jest protegowany i na wielkiem stanowisku w ministerstwie handlu z tytułem „*Staathaltereirath*". Siostra Dunajewskiego, byłego ministra, jest żoną bibliotekarza i znanego bibliografa Estreichera. Córka tegoż jest za profesorem gimnazyalnym Kulczyńskim. Ten został dyrektorem, dostał Franz-Josephsorden i wykłada w uniwersytecie Jagiellońskim jako przyszły *in spe* profesor. Druga córka Estreichera wyszła za dr. Rosnera, zwanego „Coalitionsnichte", — tenże został wicesekretarzem ministeryum oświaty, będąc przedtem zwykłym kandydatem notaryalnym. Ojciec jego został przez Madeyskiego mianowany profesorem zwyczajnym uniwersytetu Jagiellońskiego a brat jego przed dwoma tygodniami docentem ginekologii. Syn Estreichera, 25-letni młodzieniec, uzyskał przed tygodniem nominacyą na docenta prawa niemieckiego z pewnym widokiem na profesora, mając przedtem w tym celu dane sobie stypendyum 1000 złr. na ośm miesięcy studyów w Lipsku. I tak dalej; całe spokrewnione domy i rodziny są wymienione, które za czasów Dunajewskiego, obecnie Madeyskiego awansują, dostają posady i zapewnienie bytu. Takie artykuły i takie genealogie poniewierają stanowiskiem i powagą ministra, a w kołach parlamentarnych dają się słyszeć głosy: kiedy minister Madeyski uzna wreszcie za stosowne i „*sam zrezygnuje?*" Koło Polskie w obec tego wszystkiego ma twardy orzech do zgryzienia, bo rządząc niechce być przez inne partye parlamentarnej koalicyi rządzone, — i chcąc niechcąc, musi się ze swymi ministrami solidaryzować. Sytuacya bardzo więc naprężona.

Xi.

O prawdę.

— Pan *dr. Kusztelan* prosi nas o zamieszczenie następującego sprostowania:

„W ostatnich dwóch numerach „Przeglądu Poznańskiego" spotkał niżej podpisanego zarzut, że przy sposobności wyborów na członków dyrekcyi i delegatów obwodu asekuracyjnego Północno-niemieckiego Tow. asekuracyjnego od gradobicia przeważył, przy równej ilości członków Polaków i Niemców, szalę na korzyść niemiecką, dając głos Niemcowi, a tem samem zerwał solidarność.

W imię prawdy proszę Szanowną Redakcyą o łaskawe zamieszczenie następującego sprostowania:

Dnia 4 grudnia r. z. odbywały się wybory w hotelu Rzymskim, na zebraniu okręgowem powyżej wspomnianego Towarzystwa od gradobicia. Okręg wyborczy obejmował następujące powiaty: babimojski, międzychodzki, międzyrzecki, skwierzyński, nowotomyślski, obornicki, grodziski, poznańskie, szamotulski, śremski i średzki. Tylko członkowie posiadający majątki w tych powiatach i od gradu asekurowani w Towarzystwie mieli prawo do głosowania. Na sali było zebranych 18 osób, 9 Polaków i 9 Niemców. Pomiędzy Niemcami był jeden nie mający prawa do głosowania, tj. zastępca jen. agentury z Torunia; pomiędzy Polakami zaś było dwóch nieuprawnionych do głosowania, tj. zastępca reprezentacacyi poznańskiej i p. N. K. posiadający majątek w obwodzie bydgoskim i to w powiecie wągrowieckim. Było więc uprawnionych do głosowania 8 Niemców i 7 Polaków. Jakkolwiek Niemcy mogli przeprowadzić wszystkich swoich

---

skiem. Ale młodzieniec przeszedł mimo i tylko pogardy uśmiech blady zarysował mu się na ustach. Całym głosem roześmiało się wtedy straszydło, a śmiech głośny, szyderczy echem powtórzyły skały i zdawało się młodzieńcowi, iż góry całe długi, długi czas urągają djabelskim śmiechem.

Ciemno zrobiło się napowrót dokoła, a on szedł i szedł wciąż przed siebie. Piął się po skałach, czołgał wązkiemi, prostopadłemi ścieżkami, rękami chwytał krzaków i drzew i szedł i szedł. Kamienie poraniły mu stopy, kolczaste ciernie poszarpały dłonie, on piął się wciąż pod górę. I niespodziewanie wyszedł na polanę leśną. Świerki i sosny szumiące otaczały ją w krąg, a środkiem płonęło różnobarwne ognisko, dokoła którego tańczyły lekkie, powiewne dziewice. Gdy przechodził mimo nich obojętny, cichy, rzuciły się ku niemu dziewczęta i zapraszać jęły do tańca. Muskały go włosów rozwianych falą, paliły blaskami źrenic, obietnicą pocałunków gorących wabiły. On szedł dalej pod górę, pod górę wciąż.

Wtedy zastąpiła mu drogę jedna, odmienna od tamtych. Poznał, to jasnowłosa dziewczyna z jego wioski. Odejdź — wymówił tylko pobladłemi usty, i natychmiast rozwiała się we mgłę. On szedł dalej, ale ledwo kroków parę postąpił, usłyszał w dole, pod stopami swemi krzyk jej bolesny i łkanie rozpaczy.

Poznał. To znowu jego dziewczęcia głos. Już chciał cofnąć się na dół, biedz jej z pomocą, ale zatrzymał się, stanął. Łkanie przechodziło w jęk konania, w skargę ostatnią, w płacz cichy. On stał z twarzą w rękach ukrytą, słuchał i nie drgnął, a kiedy ton ucichł ostatni, zaczął znowu skrwawionemi dłońmi wdzierać się na skałę. Upadał ze znużenia, podnosił się i szedł dalej, dalej przed siebie, do szczytu, tam w chmury. Już go widzi przed sobą, już też i mgły otaczają go coraz gęstsze, i droga coraz niedostępniejsza, coraz bardziej spadzista i stroma. Przed sobą ma ścianę skalistą, u dołu przepaść, otchłań, głębię. A z tej otchłani idzie ku niemu śpiew rzewny, znany od dawna. To skrzypka jego tak gra. Nachylił się młodzieniec i słucha, a tony coraz miększe, coraz przenikliwsze, ciągną duszę jego w przepaść zawrotną. Hej, skoczyć w głąb, tam, gdzie pieśń ta dźwięczy!

Nie, on do góry, do góry piąć się musi! Żegnaj piosnko, piosnko ukochana!

I z nową siłą rzuca się w górę. Pot rosi mu czoło, pierś dysze, ręce spływają krwią. Znużenie ogarniać zaczyna młodzieńca. Przystanął chwilę i widzi: Panny białe płyną ku niemu. Spuszczają się ze szczytów mgliste jak marzenie, białe jak śnieżny puch i chłodnem, wilgotnem tchnieniem studzą mu rozpalone czoło, koją spieczone usta, poszarpane stopy i dłonie. Dobrze mu w ich objęciu. Senność go ogarnia. Chciałby położyć się na skale i usnąć nakryty białymi zwojami ich szat. Już kładzie głowę znużoną, przymyka powieki.... już... już...

Nie! On na szczyt wedrzeć się musi! Duchowi gór oddać się musi w ręce! Ranek już! I zrywa się chłopiec znużony i ostatkiem sił pnie pod górę. Krew napływa mu do głowy, mgłą zachodzą oczy, pierś faluje... a tam z góry, z chmurnego szczytu, w nagrodę wszystkich wysiłków wyciąga się po niego ramię potworne, olbrzymie... Młodzieniec zamknął oczy i otworzył je znowu po raz ostatni i spojrzał... Tam w dole na zielonem tle pól leżała wioska jego. O Boże! Boże! chmur już nad nią nie było! Rozproszyły się mgły grube, złowrogie, przeklęte; słońce napowrót w blaski złote ją przybrało i świeciła białością swoich chat, jaśniała z dala szczęścia wielkiego wyrazem. I uśmiechnął się chłopiec i śmiał się jeszcze, kiedy zbliżało się ku niemu ramię potworne, olbrzymie....

wybory wypadły, jak następuje: p. radzca ziemski Grassmann z Koninka został wybrany dyrektorem, pan poseł Głębocki z Czerlejna zastępcą dyrektora, p. Niegolewski delegatem (? Przyp. Red.), a p. Senftleben ze Śremu zastępcą delegata.

Procedura wyborów była następująca:

Przewodniczący p. Grassmann zapytuje wybranych, czy się godzą na wybór proponowanego dotychczasowego dyrektora. Gdy z obecnych nikt opozycyi nie podniósł, ogłosił, że wybór przyjmuje i przystąpił do głosowania nad zastępcą dyrektora. Tu zabiera głos p. Niegolewski i powiada dosłownie: „Życzymy sobie, aby ktoś z naszych był wybrany“. Przewodniczący odpowiada: „Proponujcie panowie“. Pan Niegolewski proponuje p. Głębockiego i tenże wszystkiemi głosami obecnych został wybrany zastępcą dyrektora. Gdy przewodniczący proklamuje wybór p. Głębockiego, zabiera głos p. Niegolewski i oświadcza: „Życzymy sobie, aby p. Głębocki był dyrektorem“. Przewodniczący zwraca uwagę, że wybór dyrektora już został dokonany, lecz chętnie ponowny wybór zarządzi i wzywa obecnych, aby swe vota oddali. Za p. Grassmannem głosowało 7 Niemców i 3 Polaków, do których także należałem, a uczyniłem to i dla tego także, aby nie narażać na oczywisty szwank wybór delegatów, gdyż wybór p. Grassmanna był zapewniony już głosami niemieckiemi. Przy wyborze delegatów proponuje p. Głębocki w miejsce dotychczasowego delegata p. Senftlebena p. Niegolewskiego i tenże głosami polskiemi i niemieckiemi wybrany został delegatem (? Przyp. Red.). W końcu wybrano zastępcą delegata p. Senftlebena. Taki oto był przebieg wyborów.

Z uszanowaniem
dr. Kusztelan.“

* * *

Od Redakcyi: Z powodu powyższego sprostowania wystosowaliśmy do korespondenta naszego S. S., jednego z najwybitniejszych i najpoważniejszych obywateli Księstwa Pozn., listowne zapytanie, czy szczegóły zawarte w piśmie p. d. dr. Kusztelana zgodne są z rzeczywistym stanem rzeczy. Na zapytanie to odebraliśmy odpowiedź, że korespodent nasz „*żadnego z uczynionych zarzutów nie cofa, obstając przy autentyczności wszystkich zakomunikowach nam informacyi*“. Nie rozstrzygając na razie kwestyi, po czyjej stronie jest słuszność, do sprawy tej powrócimy niebawem.

NA WYŁOMIE.

(*Poznań w ruchu. Teatr i corso. Kółka włościańskie. Kwestya pełnoletności ludu. Czytelnie ludowe. Kilka cyfr. Co czynić?*)

W ubiegłym tygodniu Poznań jakieś niezwykłe, nieomal odświętne przybrał oblicze. Starych dywanów wprawdzie z okien nie powywieszano i girlandami nie umajono kamienic, ale plac Wilhelmowski, siłomierz ruchu poznańskiego, wskazywał przyrost ludności, — czarne tablice w hotelowych przedsionkach bieliły się kredowemi literami, — i arystokratyczne loże w teatrze nie wołały o zmiłowanie lodowym głosem pustki przeraźliwej. A tam na wyżanach przybytku Melpomeny tłum chłopów i chłopek polskich w ciemnych sukmanach i „krasnych“ stanikach płakał z radości nad „Obroną Częstochowy“, korzył się przed majestatem Kordeckiego i błogosławił tej, która Jasnągórę otoczyła skrzydłami cudownej opieki.

Corso poznańskie — monotonne zwykle, jak podwórzowe katarynki — zajaśniało tłumem twarzy nieznanych, sumiastych wąsów i czarujących uśmiechów prowincyonalnych piękności. Raz po raz dolatywała uszu moich energiczna klątwa zadyszanego hreczkosieja, to znów cedzona francuzczyzna wiejskiego arystokraty, lub szczebiot srebrny, dzwonkowy tych pięknych pań z wielkiego świata — de province. Tak! tydzień ubiegły był tygodniem ruchu i życia, — tygodniem społeczno-narodowego bilansu, którego uwerturę stanowiły odprawione przed kilkunastu dniami rekolekcye „dla mężczyzn“.

Po karnałowych bachanaliach, nie zagłuszonych widmem konającej niepodległości, doczekaliśmy się poważniejszego widowiska na poznańskim bruku; stoimy obecnie w znaku narodowych rachunków, — w znaku walnych zgromadzeń, gdzie Tow. Czytelni ludowych, Pomoc Naukowa, Kółka włościańskie i Centralne Towarzystwo gospodarcze prezentują społeczeństwu roczniki pracy i rozwoju swego.

Dla mnie przedstawiają zawsze największej interesu te instytucye, które na sztandarach swoich wypisały oświatę ludu, — te zgromadzenia, gdzie lud sam przychodzi do głosu i gdzie wsłuchany w słowa jego obliczam bicie serc chłopskich i intenzywność światła rozwidniającego chłopskie umysły. Zasługi p. patrona J a c k o w s k i e g o w tej dziedzinie są nadto znane ogółowi polskiemu, aby na tem miejscu raz jeszcze im pokłon widomy oddawać. Organizacya Kółek włościańskich, to może najjaśniejszy moment naszej pracy organicznej, bo gdy dotychczasowe gwardye narodowe ustępują z pola, nie rzucając nam nawet na pociechę okrzyku Napoleońskich żołnierzy: „Gwardya umrze, ale się nie podda“, tu nowa armja wyrasta z chat pochylonych i mówi więcej, niż pułki Bonapartego pod Lipskiem, bo hasłem jej: „N i e p o d d a m s i ę i n i e u m r ę“.

A jednak witając te zastępy ludu mojego z błogosławieństwem na ustach, nie mogłem oprzeć się dziwnemu wrażeniu. Zdawało mi się chwilami, że znajduję się na egzaminie dzieci szkolnych. Nauczyciele przyprowadzili gromady swoje i prezentują „prymusów“. Najlepsi z uczniów deklamują, recytują, tłomaczą i rachują, a pierwszą rolę grają sami profesorzy, popisując się przed szeroką publicznością pięknym wykładem i pouczaniem, pełniąc rolę g o s p o d a r z y s z k o ł y, chwaląc grzeczne d z i e c i i akcentując silnie rolę wrodzonych opiekunów wobec małoletnich. Nie przeczę, że takie postępowanie było nietylko korzystnem, ale i koniecznem w pierwocinach organizacyi i rozwoju oświaty ludowej, ale dziś pragnąłbym gorąco, aby te lata szkolne uznać za minione — egzamin „maturitatis“ za dokonany. Kółka włościańskie dojrzały już do tego stopnia wiekiem i duchem, że upełnoletnienie ich jest nieodzownem postulatem dalszego rozwoju. W przeciwnym razie spotkać je może los owych dzieci, którym komenda ojcowska tak długo pętała swobodę ruchów, że idą przez życie całe chwiejne i bojaźliwe, lękając się o własnych siłach wykonać najlżejszych poruszeń, szukając wiecznie niespokojnem okiem oparcia i umierając nieodzownie na bezkrwistość chroniczną, bo krwią wszelkich ewolucyjnych żywiołów jest siła inicyatywy, przedsiębiorczość i zaufanie do własnych sił. Dopóki „urodzeni opiekunowie“, żyją i czuwają, nie zazna „maminy synek“ fatalnych skutków wychowania swojego, ale gdy opiekunowie ci oczy kiedyś zamkną, wtedy wychowaniec, za długo na pasku wodzony, stanie bezradny w życiowym zamęcie, — łup wygodny dla wrogów i wyzyskiwaczy. Chłop polski ma na ruinach obecnych przodowników narodu powetować pogrom okrutny, a lękam się, że zadania tego nie spełni dość rychło i dość energicznie, jeżeli z zasadą sztucznej małoletności jego raz wreszcie nie weźmiemy rozbratu. Być może, że dziś jeszcze za rychło pomyśleć o c h ł o p s k i m p a t r o c i e, tem bardziej, że p. Maksymilian Jackowski spełnia obowiązki swoje z zamiłowaniem i poświęceniem, lecz c h ł o p - p a t r o n prędzej czy później stanąć musi na czele kółek włościańskich. Odkładając rozwiązanie tej kwestyi do jutra, dziś już pomyśleć należy o spotęgowaniu samodzielności włościańskiej w obrębie zebrań zwyczajnych i dorocznych zjazdów delegatów. Pragnąłbym, aby na rok przyszły walne zebranie w Poznaniu przemówiło do nas inną, prawdziwie włościańską fizyonomią, aby rolę rzeczywistego gospodarza nie „brat starszy“, lecz lud sam odgrywał, aby z katedry i w dyskusyi mniej „pańskich“ a więcej chłopskich odzywało się głosów.

Nie wypływa z tego bynajmniej, aby zławawszy w wyżej zakreślonych granicach zasadę szkolnej komendy, inteligencya zakładała ręce apatycznie i, spoczywając bezczynnie na laurach, oświatę ludu pozostawiła ludowi samemu. I samodzielna młodzież uniwersytecka, która porzuciła ławy gimnazyalne, ma profesorów swoich, ale są to przyjaciele-doradzcy, nie bony i piastunki. Na inteligencyi wiejskiej i miejskiej ciąży i nadal święty obowiązek usilnej pracy nad chlubnie rozpoczętem dziełem, tylko stosunek „starszych“ do „młodszych“ braci zmieniać się powinien w miarę rozwoju ludowego.

Jeszcze daleko do końca, jeszcze rąk nam opuszczać nie wolno, a przestroga ta ciśnie mi się tem natarczywiej pod pióro, że ostatnie sprawozdanie Towarzystwa Czytelni ludowych za rok 1894 wcale niewesołe wykazuje cyfry. „Walczymy z trudnościami technicznemi i finansowemi, które się coraz więcej piętrzą“, — mówi nam Zarząd w wstępnym artykule. „Nie podołamy im doprawdy, jeźli publiczność nasza nie okaże więcej względności dla potrzeb towarzystwa i jeżeli ogół naszych kolektorów, za chlubnym przykładem czynniejszych, nie zabierze się energicznie do poparcia naszych usiłowań“. — Tej smutnej uwerturze odpowiada w dalszym ciągu sprawozdania szereg cyfr, wyjaśniających składkowe dochody Towarzystwa. Posłuchajmy! Cały powiat międzyrzecki złożył na przestrzeni 1894 r. 5,00 mr., Ostrzeszowski (!) 21,00 Mr., Średzki (!) 31,30 Mr., Strzeliński (!) 10,00 Mr., Wyrzyski 3,00 Mr. (!!) Poznański Wschodni 30,40 Mr.

W rubryce miast figuruje Ostrzeszów z składką całoroczną 3,00 Mr., Zerków 2,00 Mr., Mosina 2,00 Mr., Łopienno 6,00 Mr., Śrem 7,00 Mr., Kostrzyn 10,50 Mr., Ostrów (!) 20,00 Mr., Śmigiel 5,80. I nie dość na tem. Odliczając składki miast powiatowych od powiatów samych, otrzymujemy jeszcze smutniejsze rezultaty. Rdzennie polski powiat Inowrocławski składa 372,45 Mr., a w sumie tej figuruje miasto Inowrocław z pozycyą 343,65 Mr. Cały powiat zatem bez stolicy swojej dostarczył **28,80 Mr.** Powiat Szubski nadsyła 35,00 Mr., a w tem miasto Szubin 31,00 Mr., zostaje zatem na cały powiat bez miasta **4,00 Mr.** Powiat Ostrowski składa 33,57 Mr., a w tem miasto Ostrów 20,00 Mr., zostaje zatem na cały powiat bez miasta **13,57 Mr.** (!) Z zadowoleniem natomiast zapisuję, że miasto Poznań złożyło 920,16 Mr., — smutnem tylko jest to, że suma ta stanowi nieomal piątą część ogólnych składkowych dochodów Towarzystwa.

Gdzie tkwi przyczyna tych niewesołych rezultatów? W maszyneryi organizacyjnej musi być kilkanaście kółek funkcyonujących nieprawidłowo, — w szeregach urzędników Towarzystwa muszą być ludzie, nie sprawujący obowiązków swoich z tem zamiłowaniem, jakiego sprawa bezwarunkowo wymaga. Powinnością Zarządu jest rozciągnąć najbaczniejszą kontrolę nad armią współpracowników swoich i nieudolnych kolektorów usuwać natychmiast. W przeciwnym razie oświadczy nam może znowu sekretarz Towarzystwa, że 40 petycyi o założenie nowych czytelni upaść musiało „dla braku funduszów“.

Sulla.

Z estrady i sceny.

(*Koncert Towarzystwa śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga na sali Lamberta dnia 9. marca 1895.*)

Zasługi wymienionego Towarzystwa około podniesienia zmysłu i smaku muzycznego w Poznaniu są niezaprzeczalnie wielkie, choć u nas mało znane. Towarzystwo założone w roku 1869 przez obecnego dyrygenta prof. Henniga, pod którego dzielną dyrekcyą bez przerwy dotąd pozostaje, wykonało w czasie swego przeszło 25-letniego istnienia najcenniejsze utwory wokalno-instrumentalnej literatury muzycznej. Dość tu wymienić: *Missa solemnis Beethovena*, muzykę pasyjną do słów św. Mateusza i wielką mszę *h-moll* Bacha, oratoria *Haendla*, *Haydn'a* i *Mendelsohna* i inne nowsze wybitne dzieła, aby wykazać wysokie dążenia Towarzystwa, po

części uwieńczone znakomitym rezultatem. I sobotni koncert należał do najudatniejszych z całego tegorocznego sezonu koncertowego i przyspożył nowy listek do wieńca laurowego, jaki się zasłużonemu i niestrudzonemu kierownikowi jak i całemu Towarzystwu sprawiedliwie należy za ich bezinteresowne, niemałych ofiar wymagające poświęcenie. Na program złożyło się kilka ustępów z cennych dzieł literatury wokalno-instrumentalnej i najpotężniejsze orkiestrowe dzieło nie tylko Beethovena ale w ogóle wszechświatowej literatury muzycznej: *IXa symfonia z chórami do słów Szyllera „Ody do radości“*. Kompozytor zamierzał pierwotnie, i to już w roku 1793, napisać muzykę stosowną do Szyllera Ody. Od zamiaru tego z czasem odstąpił, motywów muzycznych jednak, jakie mu przy komponowaniu Ody fantazya nasunęła, nie zarzucił całkiem, lecz stosując takowe do formy czysto instrumentalnej, napisał symfonię, której przewodnią myślą miały być wrażenia odniesione z czytania poezyi Szyllerowskiej. We Finale są też niektóre zwrotki ody wprost zastosowane i muzykalnie przez kompozytora ilustrowane, mianowicie te, w których poeta opiewa miłość, przyjaźń i braterstwo ludów. Pełne wzniosłości i nastroju nadziemskiego są ustępy, które się odnoszą do Stwórcy. Zwłaszcza muzyka do słów: „nad gwiazdami Jego tron“ brzmi najczystszą harmonią sfer a cichym spływając na naszą duszę szmerem, unosi nas wprost w krainę obcą, którą przeczuwamy tylko. W ścisłem pokrewieństwie do ostatniego ustępu wspaniałego utworu, znajdują się trzy pierwsze, czysto instrumentalne ustępy symfonii. W pierwszej części — *Allegro ma non troppo* — przedstawił nam mistrz zaciętą i tytaniczną walkę, jaką ludzkość z nienawistnym prowadzi losem, jak pragnie zdobyć sobie spokój serca i zapomnieć groźną rzeczywistość. Orkiestra to raz grzmi całą potęgą tonów, to znów płacze i tęskni jakby za rajem utraconym. Scena po scenie mija szybko, mistrz całą skalę uczuć przebiega, odkrywając przed nami całą bezdenną głębię ludzkiego cierpienia. Drugi ustęp — *Scherzo* — to istne „bacchanale“, w którego szalonem *fugoto* szuka człowiek zapomnienia i upojenia, chce zapić robaka, co ludzkość gryzie, i jak ten nieszczęsny Moniuszki „Maciek“, smutek swój szałem chce zagłuszyć. Ale i szał nie daje spokoju i w niem nie znajduje człowiek szczęścia. Szuka go więc i odnajduje w modlitwie: *Adagio molto*, które stanowi trzecią część symfonii. Ustęp ten należy do najpiękniejszych Beethovena pomysłów. Nuta każda przesiąkła taką głębią uczucia, każdy zwrot melodyjny taką namaszczony wzniosłością i powagą, przytem harmonia odznacza się taką niezwykłą dźwięcznością, że trudno nam uwierzyć i pojąć, jak to wszystko mógł pisać człowiek, pozbawiony całkiem najważniejszego dla muzyka zmysłu, słuchu. Beethoven pisał utwór ten, dotknięty całkiem głuchotą, która go od lat wielu trapiła. Nareszcie po cudnej modlitwie następuje wspaniałe Finale, w którem występują po raz pierwszy w złączeniu z orkiestrą głosy ludzkie pojedyńczo i w chórach. O ustępie tym wspomniałem już. Tu tylko dodam, że wykonanie arcytrudnego Finale jak i w ogóle całej symfonii odznaczało się przedewszystkiem wielką precyzyą i starannością, a szczęśliwe uchwycenie przewodniej myśli i godne tejże przeprowadzenie przez wszystkie części utworu świadczyło najlepiej o gruntownem i sumiennem studium dyrygenta i wykonawców. Soliści: pp. Emma Plüddemann z Wrocławia i Klara Schacht z Berlina i pp. Eduard Mann z Drezna i Ernest Hunger z Lipska spełnili trudne i niewdzięczne nieraz swe zadanie, poczęści zadawalniająco a nawet nieraz wybornie; chóry znakomicie się wywiązały i brzmiały nawet w najtrudniejszych miejscach imponująco, ogólny zapał udzielił się orkiestrze i całemu Towarzystwu i dopomógł do szczęśliwego i znakomitego wykonania potężnego poematu muzycznego, który pisany pod koniec życia mistrza jest zarazem najwierniejszem odbiciem całej tak bogatej w cierpienia i zawody duszy kompozytora.

Koncert rozpoczął się właściwie chórem z Brahmsa *Requiem*, w którem sopranowe solo odśpiewała p. Plüddemann. Utwór Brahmsa nie jest pisany do tekstu liturgicznego i nie przeznaczony do użytku kościelnego, Jestto raczej rozpamiętywanie artysty, na swój sposób, nad marnościami i znikomością doczesnego a wartością przyszłego naszego życia. Słowa kompozytor sam zebrał z pisma św. i utworzył muzykę głęboko odczutą. *Requiem* to pisał artysta krótko po śmierci drogiej swej matki. Ustęp wykonany w koncercie odznacza się też nadzwyczaj sympatyczną, za serce wprost chwytającą melodyjnością, która stósownie do słów pocieszająco i uspokająco spływa na serca nasze.

P. Plüddemann odśpiewała solo swe poprawnie, przesadziła tylko zdaniem mojem przeciągłe rozdzielanie świateł i cieni we frazowaniu, co wywołało pewien niepokój, niezgadzający się właściwie z nastrojem utworu. Zresztą posiada śpiewaczka niewielki wprawdzie, ale za to dobrze wyrobiony głos sopranowy. Większy spokój w cieniowaniu byłby nie zaszkodził.

Potem nastąpiły: Arya na bas i Kawatyna z Mendelsohna oratorium: *„Paweł“*. Aryą „Boże bądź miłościw“ odśpiewał p. Hunger bez technicznych usterek, ale trochę zimno i bez głębszego przejęcia się; mała niedyspozycya krtani przeszkadzała mu zapewne w rozwiązaniu całej potęgi głosu. P. Mann odśpiewał z uczuciem, ale trochę cienkim głosikiem kawatynę z Pawła „Bądź wiernym aż do śmierci“. Dobre wrażenie śpiewu psuł nieco suchy akompaniament wiolonczeli: sławną aryą na altowy głos z Bacha pasyjnej muzyki do słów św. Mateusza „Zmiłuj się nademną Boże mój“ odśpiewała p. Klara Schacht z uczuciem i widocznem przejęciem się pięknościami wzniosłego utworu. Solowy akompaniament na skrzypcach w tej kompozycyi objął koncertmistrz wrocławskiej kapeli p. Köhler i wykonał zadowalniająco.

Na zakończenie I. części Koncertu zagrała orkiestra przegrywkę do muzycznego dramatu Wagnera: Trystan i Isolda. Utwór ten posiada wszystkie zalety i błędy Wagnerowskiej muzy a ma przedstawiać muzykalnie miłość w różnych jej przejściach i fazach. Nie łatwa to praca i zadanie dla orkiestry odtworzyć jasno zagmatwaną partycyę i podążać za myślą genialnego poety-kompozytora. Wysokie i trudne zadanie, jakie sobie kapela postawiła i ku zadowolnieniu publiczności zgromadzonej wykonała, najlepiej świadczy o dzielności i zapale wrocławskiej orkiestry, tem więcej, że nie rozporządza pierwszorzędnemi siłami, z wyjątkiem może znakomitego flecisty.

Szkoda wielka, że nasza publiczność muzykalna, albo muzyką się interesująca, tak mało zmysłu objawia do tych poważnych koncertów. Szkoda tem większa, ponieważ to dla nas pod wielu względami mogłoby być wzorem. Naprzód poznalibyśmy utwory wartościowe, jakie każdy inteligentny człowiek powinien się starać poznać, — utwory, które nie są wyłączną własnością narodu niemieckiego, ale całego ucywilizowanego świata. O naszych zaś siłach wykonać utworów tych chwilowo nie możemy. Do tego brak nam odpowiednio wykształconych chórów, brak nam inteligentnego dyrygenta, brak wytrwałości, poświęcenia i zapału, który nieraz cuda tworzy. A gdyby to wszystko ktoś stworzył, to twierdzę ostatecznie, że brak naszej szerszej publiczności zmysłu do wysłuchania takich koncertów. Dość tu uczynić przegląd programów koncertowych naszych kół i kółek śpiewackich, aby dojść do tego rozpaczliwego przekonania. Kształćmy więc chwilowo nasz smak i zmysł na wzorach i utworach c e n n y c h literatury muzycznej tak swojskiej jak i obcej, gdzie tylko okazya po temu się nadarzy, a reszta może się z czasem zmienić na lepsze.

Edwin Jahnke.

KRONIKA POWSZECHNA.

W mieście naszem bawi znana ekonomistka **Dr Zofia Daszyńska**, współpracowniczka „Przeglądu Poznańskiego“.

Wiadomości społeczne i polityczne. Przy obradach nad wnioskiem Koła polskiego w sejmie pruskim o zniesienie komisyi kolonizacnjnej przemawiali kilkakrotnie posłowie ks. dr. prałat Jażdżewski i pan Czarliński. — Niemiecki dziennik „Post“ zamieścił ostry artykuł przeciw ks. arcybiskupowi Stablewskiemu. Artykuł nosi tytuł: „Die Kriegskasse des Erzbischofs von Posen“. — Na walnem zebraniu Tow. Pom. Naukowej Im. Kar. Marcinkowskiego uskarżano się na brak zamiłowania młodzieży naszej do studyów filologcznych. Ks. Kolasiński żądał zaprowadzenia ścisłej kontroli nad stypendyatami w większych miastach uniwersyteckich. Wnioskodawcy oświadczono ze strony zarządu, że postulat ten z względów technicznych jest niewykonalny.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wystawiono na scenie naszej 4-aktową komedyę Pawła Lindaua p. t. „Dwie Eleonory“. Technika sztuki wzorowana na dramatach francuzkich zaleca się w pierwszych dwóch aktach mistrzowskiem zawiązaniem intrygi i stopniowaniem, w dwóch ostatnich aktach natomiast grzeszy rozwlekłością i jednostajnością. W rysunku bohaterów odzywa się, mimo francuzkiego pokostu, niemiecki filister. Grą artystyczną odznaczyli się pp. Trapszo, Sosnowski i Skirmunt, a z kobiet występujących zjednała sobie p. Wróblewska burzę oklasków znakomitą grą w pierwszym i drugim akcie. P. Majdrowiczowa wewiązało się poprawnie ze zadania swojego, podjętego widocznie z wielkim zasobem pracy i staranności. — W ubiegły czwartek wznowiono na scenie naszej wesołą krotochwilę Abrahamowicza i Ruszkowskiego p. t. „Florek“, Z artystów zasługują na serdeczne uznanie pp. Łaski, Trapszo, Jakubowski, Królikowski, Skirmunt i Knapczyński. „Great attraction“ wieczoru stanowiła jednoaktówka Józefa Kościelskiego p. t. „Na klęczkach“. Jest to śliczna bluetka z czasów rokoka, zalecająca się nie tyle warunkami scenicznemi ile koronkową robotą literacką. Dwie główne role odtworzyli p. Sosnowski i p. Wróblewska. Grę ich cechowała właściwa wytworność i finezya, pamięć tylko nie zawsze dopisywała artystom. — Na scenie poznańskiej ukaże się niebawem dramat Dr. K a r c h o w s k i e g o p. t. N a s c h y ł k u. Autor jest Poznańczykiem. — W ubiegły poniedziałek produkował się z powodzeniem na sali p Adamskiego znany monologista p. Kiciński. Publiczność żywo oklaskiwał jego humorystyczne kreacye. Na wyszczególnienie zasługuje typ „Lichwiarza“ — W przyszły poniedziałek (18. b. m.) odbędzie się na sali Bazarowej wieczór wokalno-humorystyczny pani A d o l f i n y Z i m a j e r i pana A r t u r a Z a w a d z k i e g o. Nie potrzebujemy chyba zachęcać czytelników naszych do udziału w interesującym koncercie, bo sława pani Zimajer, jako pierwszorzędnej gwiazdy operetkowej, rozbrzmiewa na obu półkulach. Pan Artur Zawadzki już przed czterema laty dał się nam poznać jako niepospolicie uzdolniony artysta i autor humorystycznych scen i monologów. Jest on oddawna ulubieńcem publiczności warszawskiej, petersburgskiej, odeskiej, krakowskiej i t. d. a typy stworzone przez niego odznaczają się humorem i prawdą życiową. Sprzedaż biletów, jak słyszeliśmy, postępuje bardzo raźnie. — W Warszawie odbył się raut artystyczny na zasiłek kasy wsparcia nauczycielek i bon. Raut ten utworami talentu swojego uświetnili pp. Chmielowski, Matuszewski, Gawalewicz, Kamieński i Gliński, oraz panie Marrené, Mellerowa i Hajota, — W Warszawie gości od dni kilku trupa ruska w teatrze Wielkim. — Na scenie teatru krakowskiego wystawiono po raz pierwszy znaną u nas sztukę Koziebrodzkiego p. t. „Nauczycielka“. Krytyk „Czasu“ (Ehrenberg) wyraził się o uwieńczonym na konkursie dramacie bardzo ujemnie, zarzucając mu między innemi uderzające powinowactwo z „Dyonizą“ — W berlinskim Schauspielhausie wystawiono z powodzeniem niegraną od lat 60 sztukę Grillparzera p. t. „König Ottokars Gluck und Ende.“

Odpowiedzi Redakcyi.

F. O. Radzimy polecić a d w o k a t o w i napisanie listu w tej sprawie z żądaniem zwrotu manuskryptów. Redakcya ta słynna jest z niepunktualności i kilkakrotnie już z różnych stron proszono nas o radę w sprawie zaprzepaszczonych rękopisów.

Stała prenumeratorka. Prosimy uprzejmie wybaczyć, ale nadesłany artykuł w małej cząstce zaledwie porusza kwestye ogólnej natury, głównie zaś czepia się osobistości i zagląda w tajemnice życia domowego. Paszport dziennikarskiego wszędobylstwa kończy się tam, gdzie się zaczyna próg domu prywatnego. Wyjątki z tej zasadniczej reguły usprawiedliwić mogą tylko nadzwyczajne okoliczności.

Czytelniczce. „Pontonami“ nazywają płaskie czołna używane do budowy pływających mostów dla operacyi wojskowych. „Ponto“ natomiast jest oznaczeniem hiszpańskiego asa kierowego w l'hombrze. Francuzkie „pointeur“ i hiszpańskie „ponto“ mają oczywiście jeden i ten sam źródłosłów.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Ks proboszcz P. (w miejsce pomnika) 3 mr. — Ogółem zebraliśmy dotyczas 699,75 mr.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

Gimnazyaści poznańscy 24 mr. Ogółem zebraliśmy dotychczas 509,80 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Czas odnowić przedpłatę!

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.